ADOLF NOWACZYŃSKI

SEN SREBRNY SALOMEI KOHN



„KSIĄŻKI CIEKAWE"
WARSZAWA SIENKIEWICZA 12.

ADOLF NOWACZYŃSKI

SEN SREBRNY SALOMEI KOHN

KSIĄŻKI CIEKAWE
WARSZAWA, SIENKIEWICZA 12

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15

KUSZENIE PANI PRZYLEPECZKI.

Five-o-clock Tea u jednej z naszych mocno nieśmiertelnych prymadonn, nieznużonej odtwórczyni partji Rigolasa w „Pajacach Madonny“ i Elsy w „Ring der Diebelungen“ i Kordelji w „Astorjanach“.

Gościnne apartamenty jarząco oświetlone, przepełnione doborową elitą stolicy. Jedna dekoratywna margrabina, kilka typów z dyplomacji, dwóch dymisjonowanych jenerałów, kilkunastu byłych ministrów, dwóch szefów sekcji, trzy kresowe emigrantki, wysoki człowiek w monoklu, kilku suwerenów, jeden znakomity skrzypek, dwie początkujące malarki, coś z prasy, coś z teatru, coś z magistratu, coś z ministerstwa ochrony Sztuki i Kultury i jedna koleżanka-rywalka gospodyni, niezrównana odtwórczyni roli Halki w „Rycerskości Pana Twardowskiego“...

Szykowne jesienne damskie kapelusze, gwar, dobre perfumy, ścisk, mocna czarna, przy fortepianie człowiek o lwiej czarnej czuprynie. Konwersacja w językach polskim, francuskim i włoskim ze względu na panią domu, która kiedyś, ongiś często ponoć śpiewała w Monte San Carlo, a i w La Scali ją całe lata oklaskiwali. Koniak francuski, węgierski i swojski.

Przeciskam się do gospodyni, która czyni honory domu w rogu salonu pod olbrzymią lampą na alabastrowej żerdzi. Trzyma się „Przylepeczka“ jeszcze świetnie i wygląda ponętnie. „Il tempo é un galantuomo“, jak mówią gondoljerzy w Wenecji. Pulchna, przysadkowata, okrągluchna, rumiana, nieco pyzata, na głowie (ponoć kolanowo łysej) ma olbrzymią peruczkę kasztanowatych bujnych, pysznych włosiąt. Ponieważ emabluje ją właśnie dwóch byłych ministrów i jeden kontradmirał VI eskadry floty wiślanej, przeto podchodzę nieśmiele, bojąc się, żeby mi któryś z dygnitarzy nie nastąpił na świeży nagniotek. Tymczasem boska casta diva zaraz mnie dostrzega, uśmiecha się najmilej i kiwa główeczką,

— A, jesteś mistrzu, wreszcie!... niepoczciwy!

Składam ukłon wersalski, przypadam do pulchnych rączek i wyciskam sierdzisty pocału-

nek. Oczywiście jestem z miejsca wniebowzięty, rozczulony i wzruszony, skoro intytulację „mistrza“, przed wojną europejską chronicznie do mnie stosowaną, obecnie rzadko słyszeć mam miłą okazję. Poczem znakomita cantatrica z najrozkoszniejszym uśmiechem, przerywa sobie w środku ożywiony dialog z przepotężnymi dygnitarzami i wziąwszy mnie pod rękę, przeprowadza w ścisku do sąsiedniego buduaru w prześlicznym rokokotowym stylu urządzonego. Już w drodze parluje bez przerwy i literalnie literatowi nie daje przyjść do słowa.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie drogi, kochany przyjacielu, żeś wreszcie, wreszcie do mnie zaszedł po tylu, tylu zaproszeniach i telefonach... Nie uwierzysz, jak się do ciebie stęskniłam, mistrzu... nie uwierzysz, jaką masz we mnie adorantkę: jak ja szalenie czytuję wszystko, co wy tam piszecie... Ale właśnie widzisz, kochany, drogi przyjacielu chciałam z panem w tej sprawie dłużej pomówić coniecco we cztery oczy... Nie uwierzysz pan, jak ja się cieszę. że pan do mnie wreszcie, wreszcie, znów zaszedł, jak dawniej za dobrych, dobrych, czasów...

— Jakto dawnych dobrych?

— Ach, prawda... Właściwie wszystkie czasy są dobre. Naturalnie te teraz są najlep-

sze, ale widzi pan i tamte były dobre... O tu siądziemy sobie wygodnie, nikt nam nie będzie przeszkadzał, możemy się swobodnie rozgadać... Wołodia, tak wy przynieście zdzieś czarną kawę... i koniak! prawda i koniak? Poznaje mistrz starego Wołodię?... Onże u mnie został z dawnych dobr... pardon z dawnych czasów... Taki zacny, dobry, kochany przyjaciel. Tyle się z nim przeżyło... Tu sobie tete à tete...

— Jakto zostawi pani tylu gości?

— Dla pana, dla ciebie mistrzu?... Żartujesz chyba. Cóż może być dla mnie milszego, rozkoszniejszego jak pogadanka z dawnym dobrym, kochanym przyjacielem... Zresztą tych gości mam teraz co tydzień... potem, co to za goście teraz?... co za towarzystwo! niektórych nawet z nazwisk nie znam. Ten minister, z którym rozmawiałam bywa także u naszej suflerki na flakach co czwartek, a ten szewc sekcji Dojlidowicz jest w przyjaźni z naszym waltornistą z orkiestry, u niego mieszka kątem za parawanem. Ach, coś okropnego teraz wogóle, choć coprawda z drugiej strony trzeba przyznać, że wszystko idzie ku lepszemu i poprawa jest widoczna na każdym kroku... Może koniak?... A mistrz sam sobie już nalewa?... Bardzo słusznie, proszę się czuć jak u siebie w domu, kochany, miły przyjacielu... Wołodia,

tak wy już idźcie k'czortu... Jakiż ten koniak, mistrzu, drogi? Zapewne nie taki jak dawniej, no, Boże drogi, cóż robić, niema już Meukowa, ale i ten znośny, nieprawdaż i w tym kierunku jest poprawa?... Przysłali mi dwadzieścia butelek tego, ci poczciwi, zacni bracia Fuggerowie... Widzi mistrz drogi, nie zapominają o mnie, nie zapominają ludziska. A ten kosz chryzantem, wie pan od kogo, ani byś zgadł, luby przyjacielu... Ach, to od kogoś, kogo wy tak ciągle niecierpicie, to od wojewody Rymszy, tego poczciwego miłego człowieka, on tu dzisiaj też będzie u mnie.

— Jakto? i spotkają się z Dojlidowiczem?

— A dlaczegóżby nie? Zapowiedział się. Nawet bardzo się cieszę z tego, że się spotkają. Może mi się uda nawet do bridża ich usadzić razem.

— A to bridż jeszcze idzie? Jak illo tempore?

— Naturalnie, naturalnie. Ach mistrzu najzłotszy, co jabym nieszczęsna poczęła ze sobą bez bridża?.. Z pokerem już się skończyło, bo mnie trochę pokereszowali, ale bridż? Pan wie, jak ja kocham Anglików, choć zresztą niemniej i Francuzów, których wielbię formalnie, no a za Włochami to jak zawsze przepadam, choć w ostatnich czasach znów przekonałam się, że

swoi najlepsi, najpoczciwsi, najzacniejsi, co to gadać, najzacniejsi! Niech pan sam powie, nieprawda?

— Bezwarunkowo. Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie.

— Prawda? prawda? Ach, jak mnie to cieszy, jak mnie to cieszy, drogi, kochany mistrzu, że pan właśnie to mówi. Może panu nalać koniaku... A pan sobie już sam nalewa, doskonale... Bo widzi pan w ostatnich czasach to ja bardzo się przekonałam do Polaków, do nas samych, bardzo Pan kochany zna panią Melbę Myszuggini, która ze mną dublowała Cordelję w „Bohemia Rusticana“? Jest tam w salonie...

— Tak, widziałem ją... Bardzo coś źle wygląda, zdaje się, że się nieco postarzała... Może chora?

— Prawda? Biedaczka! Istotnie mocno się postarzała? Zauważył to mistrz kochany? Strasznie się nie szanuje, czy nie szanowała i wie pan głos traci, ale to raptownie, z dnia na dzień. Kiksy nam takie wycina, że w orkiestrze struny w basach z oburzenia pękają... i przez to taka pesymistka! Wie pan, ona ciągle narzeka! Wszystko jej źle i źle w tej Polsce, nic jej nie dogodzi... Koleje złe, ministry nieudolne, w Sejmie złe powietrze, i analfabeci, kraw-

cowe drogie, w urzędach łapownictwo, kapelusza spóźnione fasony, szminki coraz gorsze, wojewoda Rymsza to idjota, Dojlidowicz kubanierz, klaka w teatrze niepunktualną, recenzenci to cymbałwany... Ciągle tylko narzeka, narzeka, lamentuje, wygaduje, pomstuje, wyklina, że już wprost niedobrze się robi, gdy się słucha tych utyskiwań... I ciągle znów grozi, że sobie wyjedzie do Włoch, gdzie ma engagement na zimowy sezon od Toscaniniego, gdzie jest słońce, makaron, fasci, pomarańcz blask majowe złoci drzewa...

— A to niechże sobie jedzie do krocset djabłów... pardon, pardon... jeżeli jej tu nie dobrze! na zbity łeb... pardon, pardon, przepraszam bardzo..,

— Ależ nie masz za co przepraszać, drogi, kochany, zacny mistrzu! Broń Boże... Powiedziałeś to z duszy, z serca, szczerze, a ja tylko za szczerością jestem .. Może koniaczku? Ach, mistrz mnie sam wyręcza... Bardzo dobrze, cudownie... Ja też jej to powtarzam... Komu w Polsce naszej, kochanej, drogiej, zacnej Polsce, źle, niech sobie jedzie na engagement zagranicę, do Poznania, do Bolszewji, albo do Włoch, albo do Ameryki, gdzie chce, nikt nie będzie przeszkadzał... Wolna droga!... Byle nie to ciągłe lamentowanie, narzekanie,

samobiczowanie, jęczenie, ten ohydny jad oszczerstwa, to nieustanne podrywanie wszelkiego autorytetu naszej dyrekcji i reżyserji, to plucie na wszystko i wszystkich recenzentów, ten krytycyzm nieustanny...

— „Myśl o losie biednej Hanny“ — zanuciłem teraz ni w pięć, ni w dziewięć, a „ósemkę“ koniaczku nalewając sobie bezceremonialnie.

— Nie, mistrzu drogi, tu naprawdę niema już żartów... Pani Melba naprawdę lepiejby zrobiła, gdyby także wyjechała coprędzej... Mnie jej strasznie, szalenie żal, bo istotnie ma już głos zupełnie zrujnowany, biedaczka doszczętnie..

.— Nous avons tous assez de force pour supporter les maux d'autrui.

— Tak, tak, ale widzi kochany pan w boskiej Italji głos może sobie poprawić...

Si, si... Eppur si muove...

— Tak, to prawda. ale rusza się coraz ciężej na scenie! arterjoskleroza... rozedma płuc, kamienie żółciowe... i stąd ta chroniczna malkontencja i kopanie dołków podemną i te intrygi w dyrekcji i to niezadowolenie z Polski, z Rządu, z Sejmu, z Państwa, z reżyserji, ta głupia dublerka ze mną, która przecież śpiewałam Cordelię w Monte San Carlo, a sam

król Emanuel, świeć Panie nad jego zacną, polską duszą...

— Tak, tak, tempi passati.

— Mam nawet upominek bardzo piękny, ot ten tam etruski dzban, u którego się ucho urwało...

— Dopóty dzban wodę nosi...

— Prawda? prawda, ach, jak mistrz to świetnie powiedział! jak a propos. My już wszyscy dość mamy tego jej narzekania i jęczenia. Ona zawsze była malkontentką i za ruskich czasów, i za pruskich, i za polskich. i za naszych niby teraz, a Bóg świadkiem, że nie miała racji, że zawsze egzaltowała i szarżowała okropnie... Niech pan sobie przypomni, jak jej się wiodło za nieboszczyka Skałłona, opływała jak pączek w maśle, miała doskonałą gażę, największe feu, a ciągle, ciągle wygadywała na tych Moskali, wśród których przecie też byli szarmanccy i dobrze wychowani ludzie! a jacy muzykalni, jacy muzykalni!... Pamięta pan gradonaczalnika Papadżanowa, albo pułkownika księcia Czakowsadze, albo prezesa Teatrów Meyermüllera... Od niego mam to kryształowe lustro, o tam w rogu, poczciwa, dobra, zacna dusza.

— Tempi passati ,.

— A jej jaką to owację zaaranżowali na

premjerze „Madama Kerowa"? I co, myśli pan, że się poczuwała do jakiej wdzięczności? Nigdy. Zawsze wygadywała i psy na nich wieszała. Potem przyszli ci Prusacy. Można o nich wszystko mówić, co się komu podoba, ale ostatecznie niech Pan sobie przypomni ilu wśród nich było rasowych, dobrze wychowanych ludzi... No, i jacy muzykalni, jacy muzykalni! Taki Etzendorff, taki, proszę pana, hrabia Leichenfeld, taki von Besser-Kesler... przecież chyba już tym nic zarzucić nie można było... Nawet się do teatru nie wtrącali... Od jednego mam te brabanckie koronki za Elsinoę z Brabantu w Lodengrünie... a pan mistrzu, myśli, że im dała spokój, że na tych, co stąd Moskali wypędzili nie wydziwiała? Także, a jakże, aż się doczekała, że ją na trzy tygodnie hausarestu musieli skazać! A teraz, myśli mistrz kochany, że jest zadowolona? Nawet teraz, kiedy nowy sezon się zaczął, Polska przyszła i tyle razy w teatrze gra się w orkiestrze Marsyljankę, albo Bersaglierów? Mistrz myśli, że się zmieniła...

— L'homme absurde est celui qui ne change jamais...

— Otóż to właśnie... A ona nic a nic... Ja się zmieniam jak tylko mogę, ile mi sił starczy i jestem, jak mi Bóg miły, ze wszystkiego

wciąż zadowolona i z recenzentów i z państwa i z publiczności, z Rządu, z Sejmu, z orkiestry... Szminki do charakteryzacji przywozi mi wprost z Paryża aeroplanem, słyszy mistrz, aeroplanem! ten nasz sympatyczny, zacny, miły, elegancki Duval... On tam jest w salonie... Ale może koniaczku?... Czy tam jeszcze co zostało w butelce?

— Na bo-naparsteczek, jeszcze starczy...

— Zaraz każę dać drugą. Ale może mistrz teraz naszego Suwerena dla odmiany. Dostałam całą paczkę od tego małego Kohna. Poczciwa, zacna, dobra dusza.

— Podobno i muzykalny!

— Niesłychanie!... Nie uwierzy pan do jakiego stopnia muzykalny... No, to oni wszyscy... a już Kohnowie specjalnie... A może pan woli Benusia?... Mam jeszcze z dawnych czasów trzy poczciwe buteleczki.

— Jeśli łaska, to ten drugi. Choć nałogowy nacjonalista, wolę narazie jeszcze francuskiego Benedyktyna od swojskiego Suwerena.

— Doskonale... już dzwonię. Zaraz nam Wołodia przyniesie... Tymczasem zaś, ponieważ widzę, że mistrz już u mnie czuje się dobrze... jak dawniej... Wołodia, wy by nam tu przynieśli Benedictin, bolszyj Benedictin, ponimali?... Ponieważ pan jest, jak wy to mówicie,

już w nastroju, to ja sobie pozwolę powiedzieć panu coś, co mi oddawna leży na serduszku... powoli, delikatnie mistrza do czegoś przygotować.

— Chi va piano, va sano.,.

— Cudownie! cudownie! Ach, jak pan ślicznie, ślicznie mówi po włosku.

— Po włosku prędzej dojdziemy do kłębka.

— Otóż drogi, drogi mistrzu! Pan wie chyba dobrze, jakiego pan ma we mnie zatwardziałego czytelnika i wielbiciela?

— Domyślam się, aczkolwiek la donna é mobile...

— Ridi pajazzo caro mio, ale wysłuchaj cierpliwie... Otóż za chwilę będzie tu u mnie wojewoda Rymsza... jeden z licznych naszych bohaterów narodowych, wielkorządca Prypetji, wicekomandor kapituły orderu „Bene Merentibus". On chce mistrza już oddawna poznać, bo mu się już sprzykrzyło czytać o sobie te różne przykre rzeczy w tych waszych obrzydliwych gazetach, które on bardzo pilnie czyta, no a dla pana to on jest ze specjalnem uznaniem... Zaaranżowałam mu dziś bridża z moim starym przyjacielem Kohnem, wiceministrem Dojlidowiczem i...

— Ja nie gram, o serenissima!

— Nie w tem rzecz... Ja chciałam tylko was ze sobą spiknąć... mistrz wie, że moją marotą jest różnych ludzi spikać... O jest Benuś... Niech Wołodia otwiera i naleje mistrzowi.

— Haraszos, sofort...

— Otóż drogi, kochany przyjacielu!... Pan wie, że moją pasją jest, żeby mój salon był takiem centrum, takim neutralnym terenem, gdzie się spotykają ludzie wszystkich sfer i wszystkich dobrych partji, choćby przy niewinnej ruletce!... Niech będzie i rouge et noir, byle skończyła się raz ta kakofonja partyjna, ta dysharmonja, te kłótnie, waśnie, potępieńcze swary, te zacietrzewienia, które wszystkim już „nadojadły", wszystkim nam już obrzydły, a które pewna prasa i pewni recenzenci ciągle, ciągle rozdmuchują.

— Cosi fan tutti, o serenissima!

— Tak, ale nie wszyscy z powodzeniem i sukcesem... A wy, jakbyście się uwzięli, na pewnych ludzi i żyć im nie dajecie!... Może pan zapali sobie papierosa, można... Mam świetne bułgarskie, przywiózł mi kilka tysięcy z Sofji poczciwy, zacny Dojlidowicz, ot właśnie jedna także z waszych ofiar... A to wszystko już zupełnie dégoutant! Niech pan patrzy jaka siła, zdrowie, tężyzna, moc, bije od tego czło-

wieka! Teraz nawet mego przyjaciela małego, zacnego Kohna też się czepiacie! mecenasa sztuki, który tyle zrobił dla muzyki ojczystej!

— Anch' io sono peccatore...

— A właśnie, właśnie! A czy to pięknie? czy to ładnie tak wyszukiwać łatki na całem? tak wszędzie dopatrywać się niedobrej woli? egoizmu? prywaty, sobkostwa?.. Niech mistrz się zastanowi... czy ja nie dobrze mówię? no a jak ten benedyktyn?

— Bene dictum, bene!

— Przecież jak każdy człowiek, tak i taki każdy polityk jest jak ten medal, bo ma dwie strony! Wy wolicie tę jedną, ciemną, a ja wolę naprzykład zawsze centrum, zdrowe, tęgie centrum... Przecież sztuka życia polega na tem, aby sobie ciągle właśnie przysparzać przyjaciół, zaskarbiać publikę, być z jak najwięcej ludźmi per ty, nie drzeć koty z recenzentami, z audytorjum nie wygadywać wciąż na reżyserję w państwie, jak to robi ot nasza Myszuggini.

— Hic Rhodus, hic salto mortale...

— Co mistrz mówi?

— Nic, tak sobie bredzę. co nieco po benedyktyńsku...

— Bardzo proszę... Mistrzowi wszystko wolno, byle... byle zdjął już te ciemne zakopcone okulary i przestał przez nie patrzyć na

świat Boży, na tę moją ukochaną, dobrą publiczność... na tę reżyserję w naszem państwie... o!... Dzisiejszy wieczór jest rozstrzygający. Proszę mi dać łapkę... proszę mi wierzyć... Tu u mnie już wielu, wielu ludzi, co się nacierpiało, zaczęło zbliżać się do siebie i oswoiło się ze sobą i pogodziło... i grało w bridża!... Mam pod tym względem nawet pewne zasługi i nawet pewne szanse na order „Bene Merentibus". Wojewoda Rymsza oświadczył mi, że jak mi się jeszcze to uda dzisiaj, to on sam w Kapitule tego... Mistrz zostanie dziś u mnie na kolacji?... sami najbliżsi... będą kołduny litewskie, szczupak po żydowsku, zrazy z kaszą krakowską... znajdzie się i jakaś butelka starego Palugaya, a może nawet Veuve...

Słowa: Cliquot zdaje się już nie mogła domówić pani Przylepeczka, kiedy we drzwiach stanął zaaferowany stary Wołodja, anonsując półgłosem:

— Madame! Gaspadin Wojewoda...

MOWA KANDYDACKA GRZEGORZA NIEDBAŁY

(na wiecu przedwyborczym obywateli Opojowców w Kapuściskach Górnych w roku Pańskim 1922).

Niech będzie pochwalony... to jest rzec chciałem... niech będzie powitany każdy brat włościanin co tu w dzisiejszym dniu ważnym na to zebranie naszej partji, jedynej jaka prawdziwie i rzetelnie chłopską partją księdza kapelana Opoja jest i będzie, to znaczy radekalnej ludowej partji tu przyszedł i zawitał.

Przyjechaliśmy tu bracia do was co prędzej gromadą wielką jako do miejsca słynącego w kraju i Ojczyźnie tem, jako że zarażone jest cokolwiek podobno bardzo wstrętną agitacją Judaszów z Wyzwolenia.

(Głosy: Nieprawda, nieprawda).

Prawda czy nieprawda, to ta się okaże później w listopadzie, nie teraz, w każdym atoli

razie słuchy nas doszły aż do ulicy Wspólnej do Warszawy, gdzie ksiądz kapelan rezeduje, że tu już u was pewne kozły parszywe bywały i zły kąkol między ludzi posiały.

(Głosy: I po pysku dostały!)

Dostały czy nie dostały, to ta jeszcze nic wiadomego, w każdym bądź razie tu już te zaprzańce były i co mogły pono to napaskudziły. Bracia chłopy! Tyle wam powiadam, nie wierzcie wy też tym Faryzeuszom, tym celnikom, tym naganiaczom pańskim z Wyzwolenia! Gorsze one może i od Piastowców owych i od chyjenów i od endeków rozmaitego rodzaju! Gorsze, bo są chytrzejsze, a wszędy się wścibią i za pazuchę zachodzą. Gorszych szelmów toby na całej kuli ziemskiej ze świecą szukać i byś bracie chłopie nie znalazł! Byli tu oni u was, byli już, toście się i sami namacalnie mogli przekonać jakie to przechery i cholery są i co za perfigja w nich siedzi. Obiecywali wam, obywatele z Kapuścian Górnych, Bóg wie co, a dotrzymać to wam dotrzymają...

(Liczne okrzyki, których koniec tylko jest jako tako dosłyszalny).

Równo czy nie równo, aleć w każdym sposobie nic, ale to całkowicie nic z tego, co my największe w Polsce chłopskie stronnictwo obiecować możemy. Choćby tam oni i chcieli, to

niczego nie skórają, jakoże na pasku obszarników i dziedziców idące z miastami i mieszczuchami trzymające, geszeftów jinteligencji pilnujące, najgorsze dranie są jakich ziemia święta nosi.

(Głosy: Bywają gorsze!)

Bywają czy nie bywają, to się pokaże w listopadzie przy wyborach, a teraz bracia najukochańsi wiadomem jest co będzie jutro, skoroby taka banda złączona Wyzwoleńców, stapińszczyków, endeków, socjalistów, witosików zwyciężyła. My jedni wiemy dokumentnie, coby było, oto bracia chłopy, nie będę ja tego zatajał przed wami, bo niema co! Oto bracia: pańszczyzna! pańszczyzna! pańszczyznę na was naprowadzają i Thuguty i Witosy i Endecja bez żadnej różnicy. Pańszczyznę i podatki! jeszcze większe podatki egzekucyjne od tych jakowe są, a to kontygenty, a to sekwestry, a to opery rozmaite, a to szkoły murowane, szpitale. Bóg wie co tam jeszcze.

(Okrzyki: Jest tak, jest tak. Ma racjom!)

Mam racją czy nie mam racją, to się dopiero ukaże i to w listopadzie, ale to racja teraz, że my już przejrzeli na fest, wiemy co sądzić o Targowicy tych Wyzwoleńców co tu już w Kapuścianach Wielkich popasali.

(Głosy: Krótko! Nie długo).

Krótko czy długo to tu niewiadomo, ale wiadomo, że krótkie rządy będą tego jaśnie państwa z Wyzwolenia i tej całej paczki Dojlidziarzy. Muszą się one teraz usunąć, bo na nas bracia pora, na nas już czas, na małorolnych, na fornali, na bidotę, na służbę ze dworów, gdzie dziedzice Wyzwoleńcy rezedują!

(Okrzyki: Hańba! Tfy! Dobrze gada!)

Hańba, czy nie hańba, to się dopiero wyda w listopadzie, wszakoż dziś już hańba jest tym, co się jak hrabia Bagiński, baron Thugutt paskującą jinteligencją na chłopskiej krwi i pocie utuczoną i spasioną łączą i w kombinacyje zadawają gorsze od Witosików i od socjalistów! A na nas, na Opojowców, psy wieszają i oszczerstwa szczekają.

(Głosy: Jakie? Jakie psy? Co szczekają).

Szczekają na ten przykład Thuguciarze, co my, gdy będziemy wybrani, tylko chłopom będziemy napychać kieszenie, tylko o chłopów dbać, coby im, wszystkim chłopom dobrze tu było. A bo jest tak kochani bracia! Jest tak. Czy my się zapiramy? My są żywiciele, my chleb dajemy, my siejemy i orzemy, i pasiemy, i my charujemy, i my rekruta dajemy, więc coby to było dziwnego takiego, żeby my rządzili sami a nie to jasne państwo z Wyzwolenia, dziedzice z Wierzchosławic, z Kapuścian,

księża z plebanji i proboszcze endeckie! My już przejrzeli bracia! Ksiądz Opoj dobrze wi co w trawie piszczy i jakie ta wiatry wieją. My już dość mamy tych ślacheckich i witososkich rządów, z którymi Wyzwolenie ręka w rękę, noga w nogę idzie, ale nie daleko ujdzie. Tylko my! chłopska partja radekalna widzimy gdzie farbowane lisy są i do czego ciągną, was ciągną! My chcemy sprawiedliwych podatków! natychmiastowej reformy rolnej.

(Długotrwała owacja. Okrzyki: niech żyje reforma rolna, niech żyje rezydent!... Grzegorz Niedbała kłania się uprzejmie na wszystkie strony).

To jest nasza wola... Cicho już... cicho... To jest nasz płatforma!... Obywatele cichojcież już, bo ja mówię... To jest nasza programa!... Stulcież pysk tam pod piecem!... To jest nasz, że tak rzekę, postulat, któren po stu latach taki sam będzie, choćby się tam endeki z Wyzwolenia i z Piasta, i Pepesu wściekały i klęły i wyzywały. I to jest postulat naszego duszpasterza, naszego wodza, naszego naczelnika kochanego...

...naszego, mówię, księdza kapelana Opoja! A teraz ja was pytam, bracia z Kapuścisk Górnych, cośnie się tu tak godnie i dostojnie zebrały: jakieto mają być podatki sprawiedliwe?

Oto takie, coby z nas ostatniej skóry nie zdzierały, a wszelkie ciężary jakie są, z nas zdjęły, naszych omdlałych od bidy pleców, a na miasta, na obszarników z Wyzwolenia i fabrykantów i kamieniczników Witosowych się przeniosły! Powiedzmy se to, co mamy na wątrobie! Tak, jako teraz, dalej być nie może! Dlaczego, ja pytam, wieprze i świnie wywozić nie wolno? Komu na zdrowie wyjdzie, ja pytam, taki świński zakaz wywożenia trzody chlewnej? albo ta zapowiadana walka z drożyzną?

(Głosy: Niedoczekanie wasze! Zobaczymy).

Czy to jest, ja pytam, ta obiecywana reforma parcelująca, przy której Wyzwoleńcy i pachołki endeckie się obłowili, a my głupce z kwitkiem wyszli? Ale miara już się przebrała! Ziemia musi być rozdzielona między wszystkich, wszystkich z wyjątkowością zdrajców i zaprzańców z Wyzwolenia! Podatki muszą być też rozdzielone, tak żeby na nas całkowicie nic nie ciężyły!

(Wielka, długotrwała owacja. Okrzykom „niech żyje“ niema końca. Pod piecem ktoś intonuje: „Nie damy ziemi ani krzty“. Grzegorz Niedbała rozpromieniony czas jakiś kłania się na wszystkie strony, poczem zniecierpliwiony bije pięścią w stół, poczem stołem w podłogę).

No teraz spokój! Spokój, bo ja już docho-

dzę do rezolucji. Spokój, psiakurdzyja! Tam! Śpiwania na potem! Tu nie opera jakaś!... Proszę o ciszę! .. Panie wójcie przykażcie coby mordy stulili... O tak... Dziękuję... Już kończę...

...Otóż, kochani bracia, obywatele Kapuścisk Górnych. Jeszcze raz wam tedy powiadam na odchodku, wdzięczny wam za to gorące przyjęcie i owację, o jakiej zaraz księdzu kapelanowi i do gazet w Warszawie co się wlezie natelegrafuję. Zaprawdę tedy powiadam wam: Nie wierzcie wy, nie wierzcie tym arer darzom z „Wyzwolenia", tym Bliźniakom, i tyı innym juchom i bandytom z konkurencji i te, całej hołocie, co się rozjeżdża po kraju i was tumani za pieniądze magnackie i amerykańskie! Wybory się zbliżają, a z nimi wraz skończyć się musi nasza niewola u panów i księży, jak to pięknie mówi nasz ksiądz kapelan Opoj! A zatem z tą zatraconą niewolą muszą się zakończyć i te rządy starościńskie i żandarmskie! rządy tych kozaków, protegowańców Wyzwolenia i magnatów! Nie sposób jest, aby dalej jeszcze brat włościanin za jedną gałązeczkę, co se nieboże z lasu rządowego utnie, żeby sobie dach naprawić lub płot postawić zaraz z miejsca do odpowiedzialności pociągan był.

(Okrzyki: Tak! tak! dobrze mówi!)

Nie sposób dalej jest, coby gospodyni ka-

toliczka za to tylko, że w mieście za chudzinę gęś głupich 20 tysiączków polskich marek od burżujów se liczy, zaraz z miejsca do odpowiedzialności pociąganą była. To dwa!

(Okrzyki: Tak, tak! Niech ich cholera jasna!).

Nie sposób dalej jest, żeby wiejskie chłopaki, nasze dzieci, nasza krwawica, nasz pot, kość z kości naszej, oko za oko nasze, za to tylko, że dla figelków nieco drutu telegraficznego se ściągnęły, zaraz, jak to się stało w Śmierdziance hrabiego obszarnika, do odpowiedzialności oraz do aresztu zakute były!

(Oklaski, okrzyki: Niedoczekanie ich! Reforma rolna! Reforma rolna!)

Reforma rolna będzie o ile my Opojowcy w Sejmie będziemy. A zamiast żandarmów i policji, i kozaków polskich, i sądów burżujskich będzie tylko milicja powiatowa a nie żadne wojsko, o ile my Opojowcy w Senacie dużą kupą miejsca zabierzemy! Wtedy i koleje będą tańsze i nafta, i spirytus, i ocet, i cukier, i kosy, i gwoździe, i zapałki, i cygary, które se teraz panowie i paskarze z Dojlidów w stolicy ino palą, kpiąc na funty z bidnego, wyzyskiwanego chama!

(Oklaski, hałasy, okrzyki: Hańba, hańba! Precz z Wyzwoleniem! Niech żyje Opój! Precz

z Witosem! Pod oknami ktoś zaintonował: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem, panowie w stolicy palili cygary". Grzegorz Niedbała ociera pot z czoła).

Kończę, bracia włościanie! Kończę! Dajcież mi dojść do słowa. Już śluz! Wyrywajcież więc chwasty i kąkole, jakie Belzebub zasiał w sercach i duszach waszych! Prenumerujcie tylko „Chłopską Sprawę" i zbierajcie grosz wdowi, zapisujący się w tych oto kwitarjuszach na agitację, na furmanki, na druk, na słowo Boże. Nie bierzcie do rąk i nie kalajcie się „Ojczyzną", „Wolą Ludu", „Przyjacielem Ludu" lub innymi świstkami Targowiczan z Wyzwolenia. Trzymajcie tylko z nami, to my z wami trzymać będziemy. Ufajcie tylko nam, a nie pankom i półpankom i hrabiom z Wyzwolenia i Piasta! A wtedy da Pan Jezus, skoro nasz ksiądz kapelan Opoj będzie w Senacie, wszystko pójdzie dobrze, reforma rolna zacznie się na dobre, podatki będą sprawiedliwie na innych rozdzielone, opery i szpitale usunięte na później, a rezydentem państwa całego bez różnicy stanów zostanie nasz...

(Tu mówcy przerywa tłum frenetycznymi oklaskami i okrzykami, a z pod pieca ktoś intonuje: „Panowie w stolicy palili cygary")...

L I S T
PRZYSZŁEGO DEPUTOWANEGO
JĘDRZEJA MATYSKA
Z WSZAKOWEJ GÓRNY
Do p. dr. MACIEJA WARCHOLIKA
Wiceprezesa Ligi Piastuchów w Warszawie.

Wielmożny i Szanowny Panie Mecenasie!

W odpowiedzi na Pańskie pismo do mnie z dnia 2-go września Roku Pańskiego 1922 pośpieszam coprędzy z moją repliką dłuższą, aby Panu Mecenasowi i może też koledze dowieść dokumęntnie, jako to, że Szanowny się całkiem mylisz i w osądzeniu mnie niesprawiedliwość wielka popełnioną była która, jako że czas jest jeszcze, naprawioną być morze i powinna żeby się krzywda nijaka ciężka nie stała przypadkowo człowiekowi godziwemu, argumętów wiele tu na tem miejscu zaraz przytoczone będą je-

den po drugim bez zatajenia czegokolwiek, owszem jeszcze i o sprawach takowych o których, może Szanowny Mecenas nie wiesz ale Cię może Panie słuchy dojść jakieś mogą skoro tyle farbowanych lisów po świecie Bożym z oszczerstwami się swęda, psy na człowieku parszywe wiesza kary, Boskiej się nie bojąc a liczą na łatwowierność bliźnich skoro ostatecznie każdy coś na sumieniu ma a na drugiego wkłada, w swojem oku belki nie widzi a u drugiego wiórek, by mu nawet Kreminalne sprawki łatwo zarzucać przyszło a siebie oczyścić ze wszystkiego na glanc.

Piszesz mi Szanowny Pan i Wielmożny jako że ja własnoręncznie kandydatury zrzec się mam i Za Rządu nie molestowadź listami i się nie kłapić do poselstwa jakoteż groźbów wszelkich aby je zaniechał i nimi takowymi nie straszył! albowiem się takowych nikt w Zarządzie nie ulęknie a ja sam najsampierw powinien dojść do przekonania że wysuwać mi się nie jest pora teraz na razie skoro, pewne rzeczy takie mi ludziska pamiętają, łatwo wywlec je mogąc okazyjnie bez przezdomnych pismaków z gazet Chyjeny albo też Stap.... albo Opojowce czy inne juchy z prawej lub z lewej, wszystko jedno które, ale mogą.

Najsampierw deklaruję najsamprzód że, na

to co, tamby o mnie „Wola albo Sprawa Ludu“ popisały na to ja delikatno mówiąc poprostu s.... to jest sarkam se ino przez chwilę a potem już i nic nie wiem! bo mnie to nic nie obchodzi. A na kogotobowiem? nie pisali. Na Księndza Stojałowskiego nie pisali może! a na Witosa dranie?, dziady nie piszą, a na Komendjanta?, a na nieboszczyka Cesarza, a na Kronprynca?, a na Challera a na dziedzica od nas Dattnera same nawet żydki nie pisały? Na każdziuteńkiego piszą co się jak odznaczy lub ludu broni, z chłopów się narodził i kmiecego pohodzenia jest bo od tego oni są juchy gazetniki, za to tej sakramenckiej chołocie płacą, poniewarz nie miałby taki jeden z drugim co żryć jakby przestan pisać, wtenczas ręce założył! i nic więcej. Od tego som! Ale pies szczeka a Panbóg kule nosi a kto wiatry sieje ten w burzę zwozi a ja na to co drekowane spluwam, albo wiem wiedząc że tam kłamstwo na kłamstwie siedzi a kłamstwem se pogania, więc:

Nie w tem rzec a o tem rzec chciałem, irz mnie się rozchodzi o opinją Zarządu, Centrali i coby mi na Kongresie lub jak już w Sejmie zasiąde z takimi brudnymi świństwami przed oczy nie zajeżdżali! Pod tym względem i w tej materji Ja do pana mecenasa przysiad-

szy wszystko wyłożę aby prawda chłopska na sam wierzch wypłynęła o mnie i o sprawkach moich tak jakbym na Spowiedzi świętej mówił albo na sądzie ostatecznym apelacyjnym stanął, wkiedy przyjdzie sądzić będzie żywych i umarłych, bez wyjątku jednego.

Najsampierw zaiste jedno jeszcze napiszę z zapytaniem czy też Szanowny Prezes i do innych kumotrów co się o poselstwo starający, są, takoz takowe kazanie ostre w listach dostali jakoże są niegodne niby Sejmowania, albo wiem też czyli mnie jedynemu przypad kowo ten honór takiego srogiego ztrofowania i odradzania niby że nie pchaj się bracie między wrony, gdyś tak sam jest jako ony a ja sam już niby najgorszy wyrzótek i pazkarz niegodny wejść do Królestwa Niebieskiego? no i dlaczego to tak jezd? dlaczego specyficznie akurad na mnie?

Najsamprzód nie będę ja tutaj rozpisywał się, o innych z naszej listy jakgdyby to właśnie wtenczas teraz nalerzało, na ten przykład szkandały z Brelskim albo z G.... albo z D...., albo z W. lub teraz z Z... no i tylu różnorakimi geszefciarzami że i nie policzyłby wszystkiego co tu tego i owego. Morze nie? Morze ja łżę? Morze nieprawda? Mam jeszcze innych podsuwadź skoro, ponieważ, na mnie się wióry

w oku widzi? Pod ten czas u kryminalników beli ośmiocałowej nie i w żaden sposób. Wszelako ile więc drańśtwa i w poprzednim Sejmie Parcelacyjnym bywało że Boże odpuść! Boże wspieraj nam, byle tylko rzetelna prawda na wierzch wypłynęła jak oliwa.

Pozwalam więc sobie zainterpretować czy kandydat Bartłomiej Kułak bardzo lepszy odemnie, tak czy nie? albo nieprzymierzając jak wójt Nachała z Ratajowic, następnie, czy bardzo znów potrzebny jak dziura w moście Piekarski z Mąk Dolnych i czekam na te odpowieści ostatecznej tak czy nie? albowiem ja głupi albo nie ja głupi a Zarząd i Centrala wtóra takich bochmazów i księżopańskich liczykrupów oraz lizusów do Sejmu wysyłająca w takim razie jam głupiec, bowiem, że Zarząd jest mądry i za Zarząd Jabym się porąbać dać dał. Ponieważ to jeszcze zakomunikować bym się warzył w kwestji na ten przykład kandydat z okręgu...... niejakiego...... Mianowicie czyli to szanownemu za Rządowi wiadomem jest jakim to Judaszem obstawiono liczbę. ..... figurując znany w kraju i za Granicą geszefciarz, brudas i bogacz całą gębą w Gnojczanach dziedzic i obszarnik, a sam Kutwa skończony! Murgał Szczepan, o którym tyle tyle różnych różności pisały gazetki rze się człowiek naczytać dość

nie mógł i naradować, że tak prawda zawdy na wierzch wypływa i łajdaka galantnie wcześniej czy prędzej opiszą jak się patrzy i godzi a ostro!! Nie ja sam więc jak te palec opuszczon ale takich więcej!

Najsamprzód wtenczas z jakiej racyji mnie się czepiacie panie Mecenasie i od Sejmu usuwacie i cicho siedzieć rozkazowacie i uszy stulić i siebie nie wysuwając by nibyto z tego kompromitacja jaka nie wylazła? A z Murgały nie wyjdzie? a Nachała to się asekurował? a takiego wam Wisielca piekielnego jak Kułak nie wstyd nigdy nie będzie?. Kułaka wam juchy z Wyzwolenia nie ruszą w swoich drukowanych siufecach? Kułakowe interresy wam endeki drańskie nie wywąchają? Kułak niby nietykalny czy jak, bo już sam doprawdy nie wiem i w głowę się stukam niby czy to ja zgłupiały czy Wielmozny Zarząd niewiedzący o tem o czem wróble na dachu i w garści świergotają od rana do nocy jak Polska długa i szeroka a da Paniezus nasza ludowa!, z kretesem ludowa! demokratyczna!...

Szanowny więc Panie Mecenasie posłuchajciez z czem Ja się deklaruję i to na fest, bez apellacyj żadnej! żadnym sposobem. Rozbijacką robotę Zarząd w stolicy zaczyna, rozbijackie dzieło rozpoczętem jest w osobliwym czasie mnie

usuwając, który się nie pozwolę usunąć, i pirwej mi włosy na dłoni porosną poki Ja do Sejmu nie dojdę jak mi to swego Czasu obiecywali namawiając i słowo chonoru mi dając, że jeżeli kto to ja najsampirw w Senacie zasiądę jeżeli już w Sejmie wszystko obsadzonem jest (drańBstwem niekiedy).

Bowiem i co to niby ja gorszy Panie Warcholik? Skąd się wyrok wziął? gdzie sens? gdzie chłopski rozum? gdzie racja stanu takiego? żeby nie brać człowieka co gotówkę ma w pocie czoła a w to miejsce brać hołyszów, adwokatów, szlifibruków, pisarczuków, poniektórzy z nich i nie z naszego stanu gdzie racja fizyka jest wywodzi się?

Zarzucasz mi Panie Prokuratorze w swojem liście rozmaite rozmaitości takie, niby całą litanję częstochowską a najsamprzód wszystko rzeczy stare, więc już niebywałe a przedawnieniu podległe, bo to z wojny, z po wojny, z roków Pańskich 1919 tego i 1920 dwadzieścia! Nie pamiętał wół jak cielenciem był a co było i nie jest nie pisz bracie w regestr, albo wiem kto zacz bez winy zasię jest ten niech, na mnie pierwszy wrzuci kamieniem jak stoji w Piśmie świętym!

Rozbijacką robotę rezykujecie jeżeli w ten-

czas osobliwie ze mną guza szukacie a profit z tego dla reakcji książopolskiej i obszarnictwa zajść wielki może i dla fornalstwa zuchwałego z dnia na dzień i dziadostwa nie mówiąc o tem, ileto czystość ruchu ludowego ucierpnie skoro na firmowego ludowca Wielebny Zarząd Sam wyjeżdża z wielkim pyskiem! Przez co też inne hycle demangogi osimielone będą chyba że znów do pańszczyzny wracać chcecie i ród kmiecy aby w kajdany okuty był wolicie i Thugutter warszawista żeby ręce zacierał i wtedy rej uwodził: Bo jeżeli tak to co innego, ale jeżeli to nie jest jak to jakim prawem? jakim czołem? z którejto sankcji i z jakiego paragrafu?

Zarzucasz mi Pan Sędzia Śledczy zacząwszy od najnowszych sprawek ów bagatel z gramofonem „Colombia“ comgo niby za 80.000 m. miał kupić nowiuśki a za 200.000 redaktorowi „Przyjaciela Piastow“ wścibić przyczem. Atoli zapomnianem do cna jest, zem ja onego kupił z 20 płytami a odstąpił po dwóch rokach z 24 płytami a zaiste każden jinteligent cheba wie co teraz płyta gramofonowa jest wartna, a Pan Mecenas chyba że powinieneś widzieć najlepiej!!

Po drugie. To z hrabiną Bemową generała niby prawnuczką dodając tutaj endeczką zapiekłą. Owoz jak się rzecz macała. Prawdą jest

że majątek Stare Mostki powiatowy Komitet nadawczy do osadnictwa wojskowego nakwalifikował. Prawdą i to jest, żem ja z posłem Świstakiem, Bartoszem pewnego dnia zajechawszy virybus unitis z propozycją wystąpił jako że wpływy nasze użytymi będą coby wojewódzki komitet nadawczy powiatowego orzeczenie unieważnił, skoro tylko jaśnie pani grafinia z wolnej rączki sprzeda albo inaczej wojewoda sam pójdzie wont fora ze dwora. Prawdą dalej jest, że baba spietrana i zgodzona o zadatek trzech miljonów skomląco prosiła. Natomiast nieprawdą jest wierutną coby mi jej ze Świstakiem zadatek takowy dali i nieprawdą jest aby przy parcelancji od osadników (razem 45 ludzi) w małych działkach Spółka nasza 50 miljonów marek w sumie pobrała. Natomiast prawdą jest że pobrało się niecałe 40 mi. m. a stara obszarnica swoje 8 miljonów co do centa i fenyga wypłacone miała. W Sądzie to zaprzysiądz ze Świstakiem możemy i gotowiśmy a wtóry człek inne cyfry, mówi, łże jak endeckie chajdamaki łżom i przed Sądem Boskim za to odpowi wcześniej czy później.

Zarzucacie mi tam dalej w Zarzondzie Partji jakoby ja onego czasu kontyngentu zbożowego na mnie padającego nie dostawił za co znowu tylko na 75.000 marek grzywny skazany był

jednego roku i sto korcy Tennenbauchowi Symsze niby sprzedał ukradkiem a drugiego znowu roku com do żytniej razowej mąki pszenne otręby a do pszennej jęczmień dosypywał z czego ja wnoszę że tam u was się chéba do razowej dosypuje perły a do pszennej brylanty i Diamanty, jeżeli z tego się hece fabrykuje na ludowców przyczem i to nadmienić muszę że grzywna owa co do co ostatniego fenyga wypłaconą była, co żeby każden enludek! taksamo odsiedział i wypłakał, toby wtedy porzondek w państwie nastał i zapanował.

Zarzucasz mi Panie Katonie dalej jeszcze wszelakie inne praktyki i szpekulancje prawdziwego śmichu warte, głównie z tego co nasz wikary Faryzeusz napyskował i w listach porozpisywał do naszych z Partyi i do wrogów ojczyzny a sam w śmietance się jucha kąpie i dziwki do konfesjonała napędza! suchotnik zatracony! Z czego zaś ani dziesiąta ani może nawet dwudziesta piąta lub 30 część na sto prawdą nie jest. Żem las wycinał a nie zalesiał niby a na działki rozprzedawał zagrodnikom i gnojkom a tylko 5 morgów niby zasadził i że na mnie jeszcze pomstują za ten piasek zamiast mi ręce i nogi lizać, niech im ta Pan Bóg przebaczy bo ja do śmierci oszczercom nie, tak mi Boże dopomórz! Tosamo o zagajnikach. O gar-

barni przez koncesji w stodole z Fischlem kłamstwo wierutne! nadto 100.000 marek grzywny przez Fiszla wypłacone! a żaden z nas jak Rewizja nastała o głupim dekrecie z 7 Lutego 1920 w sprawie tego ze tylko wydział surowców w M. P. i H. wyłączność prawną na zakup skór świńskich cielęcych, końskich i kozlich! posiadając ani wiedział: jak to Pinkus Fiszl każdorazowo zaprzysiądz może:

Na inne szkalerunki to Ja nawet Odpowiadał nie będę bo to i wstyd dla Was i dla mnie i dla familji Matysków mojej.

Najsamprzód tylko zadeklaruje końcowo jeszcze moją platformę w partji. Tyś patrjota polski panie Mecenasie a jam nie Polski takiej chciał tylko rzetelnej! ludowej! jaka na ten przykła w Bułgaryji jest gdzie my rządzimy sami co ni i Stambuliński i Baczarow naopowiadali! Arystydesem ja znowu nie jezdem jak Wy sobie nazywacie Borynę, Drzymałę, Ślimaka ani nim być nie łaknę, bo comsię Dorobił, tom Dorobił krwawicą i Tego mi na Sądzie Boskim nie wydrą chyba po trupie: jeżeli mi do Sejmu nie chcecie to się ta do tej Obory Warszawskiej nie kwapię i mój żłób mi starczy ale na Waszą gangrenę krętacze ze stołecznej szajki wszakoż sposoby znajde!

Nie wydrukują mego protestu nasze pi-

śmidła to se w Warszawie zajadę do Ebergera w Porannym i onemu takie fajne rewelucje opowiem, że jusz na Was kubeł prawdy wyleje ponieważ Targowicą wy wcale jesteście a nie jam jest, albo wiem i może do Okóniowców się przypiszę i z milion im sypnę! Ostrzegam! Przyńdzie jeszcze kreska na Matyska!

Podajem Mecenasie teraz obie ręce do zgody i ściskając Was najserdeczniej zostając z szacónkiem i powarzaniem

Jędrzej Matysek.

P. S. L.

Co się dotyczy tych niby listów anonimowanych, którem niby na Pana Prezesa Wielmożnego sam wypisał i na „wszystkie"!!! strony rozesłał! kłamstwo piekielne!! i bolszewicka intryga, a dowodów niema bo podobno nawet na maszynie „Colombo" listy pisane.

P. S. L.

Jeszcze jedno P. S. L. Żem w obrocie jajami łapy mieszał kłamstwo piekielne i stara bajda. Z owym „Owum" i z Hermanem w społum był i nie rzadnym ajentem, a pośrednikiem z czego na mnie najwyżej 3 wagony załadowane do Widnia wypadnie, a zerwanie nastąpiło, bo żyd oszust, szalbierz i chciwiec ożynał na każdej skrzyni że obraza Boska! Także kłamstwo,

żebym kupował wagon drzewa „dębowego" skradziony przez urzędnika z P. Z. D., a policję łapówkami smarował...

P. S. L.

Przy tej okkazyji pozwalam sobie Wielmożnemu i Szanownemu panu przesłać skrzyneczkę jaj, niech służą.

J. M.

Wszakowa Górna pod Targowicą Nową.

TOWARZYSZ WILHELM BAŁAGAN

(nasz kandydat do Sejmu).

Nie potrzebujemy tu chyba przed czytelnikami „Godziny Robotnika“ rozwodzić się dłużej nad tym kto zacz ten czołowy publicysta naszego obozu, znany dobrze pod pseudonimem (maskami) „Pankracy Gulon“, „Niesnaski“, „Batory“i t. p. Odkąd tylko w objęciach „Godziny“ znalazł nasz „Rob“ lokal i przytułek, od pierwszego zaraz numeru czytelnicy nasi mogli podziwiać to jędrne pióro, będące istnym biczem Bożym na bogo-Ojczyźniaków, Chyjenę i inne Lewiatany endeckie i endekujące, oraz na naszych domorosłych komunistów, płatnych pachołków krwawego caratu Leninoskiego.

Wilhelm Bałagan urodził się w Liszkach, w Małopolsce w r. 1879 jako dziewiąty syn majstra fabrycznego, który go wcześnie odumarł zostawiwszy liczną rodzinę, obarczoną na łasce tamtejszych

rozzuchwalonych enludeków i paskarzy. W dzieciństwie uczęszczał nasz towarzysz do tamtejszego gimnazjum w Dopczycach, gdzie wcześnie brał udział w tajnych towarzystwach, zawiązywanych przez dorastającą młodzież ideową, bezlitośnie uciskaną przez zgrany zespół wyzyskiwaczy profesorskich. Wcześnie też stosunkowo musiał młody Bałagan opuścić tę zacofaną uczelnię wskutek zatargu z tamtejszym żandarmem w sutannie i klechą na tle różnicy ideowej w pojęciach o tak zwanej wolnej miłości, w owych czasach zażarcie i zapienioną wściekłością przez ówczesną reakcję i Lewiatany zwalczaną. Trzynastoletni chłopak relegowany za patjotyczną działalność z gimnazjum dopczyckiego musi szukać gościny w krakowskiej szkole przemysłowo-handlowej, w której widzimy go trwającego na posterunku dzielnie aż do następnego roku, gdzie czas poświęca na organizowanie kółek samokształcenia i t. p. organizacji oświatowych. W r. 1910 kończy Bałagan Wyższą Szkołę Instruktorów Partyjnych, z której wychodzi z patentem, jako człowiek dojrzały z wielkim zasobem wykształcenia i doświadczenia.

Z tych czasów datują się też pierwsze pierwociny pióra młodego a już zasłużonego działacza. Zwraca nimi powszechną uwagę czytającego ogółu w mocno wonczas analfabetycznej

Małopolsce Obszerne i wyczerpujące studjum o „Marxie i Mickiewiczu“ drukowane w odcinku naszego organu „Głos z Zawiercia“ stawia go odrazu w rzędzie najwybitniejszych i ogólnie cenionych publicystów P. P. S.

Aresztowany za obrazę Majestatu w jednym z artykułów wieczorem dnia 29 maja 1912 roku a wypuszczony na wolność aż 1 czerwca o świcie z bohaterstwem i zaparciem się siebie znosi udręki i katusze austrjackiej katorgi drwiąc sobie w żywe oczy z c. k. zaborców i ciemiężycieli. Po wyjściu z za więziennych krat towarzysz Bałagan staje się przedmiotem spontanicznych owacji całego robotniczego Krakowa, do którego w tych czasach od dwóch lat już się przeniół, aby tu działać na szerokim terenie w węższym zakresie uświadamiania metalowców i ludności podmiejskiej, spragnionej światła w stęchłej atmosferze klerykalnego zaduchu i bezdusznego wstecznictwa. Kolejno współpracuje w „Głosie Gminu“, w „Krytyce Narodu“, wydaje „Kalendarz Robotniczy“ i „Sennik Partyjny“, równocześnie nieprzerwanie prowadząc dzieło owocnej propagandy wśród rzesz pracujących w wielkich krakowskich zakładach, „Schwidt i Sauer“, „Michalik, Bizanz & Comp“. oraz pod gołem niebem u Janikowskiego i Dobrzyńskiej, jakoteż pod Mickiewiczem. Nie zby-

wa mu nigdy na słuchaczach chciwych wiedzy, tak wybitnego i notorycznego kulturalnika.

Z tych czasów pochodzi też pierwszy na większą skalę europejską utwór literacki prześladowanego i ściganego przez władze austrjackie bojowca i męczennika za wolność naszą i waszą, który odrazu stawia go w pierwszych szeregach autorów Młodej Małopolski. Utworem tym jest jak wiadomo historyczny dramat „Efialtes" z powodzeniem i sukcesem olbrzymim niestety nie grany jeszcze na żadnej scenie polskiej, gdzie tak łatwo przytułek znajdują wszystkie podkasane farsy, pieprznej muzy paryskiej, ale dotychczas nie może zabłysnąć polskie arcydzieło polskiego pióra, jak przystało przy tych rządach bogoojczyźnianych wsteczników i demagogów Lewiatana. „Efialtes" pisany jest krwią serdeczną, a jak wiadomo wierszem białym i wolnym, jak można było przypuszczać o poecie Polskiej P. Socjalistycznej, w którym autor przeprowadza druzgocącą krytykę nacjonalistycznego krzykacza Leonidasa piętnując go i zestawiając z rzetelnym pacyfistą i ideowcem czystej krwi, jakim według nowych badań (dr. Moritz Kahane: Der Mythus vom Leonidas, Wien 1910, Peretz-Verlag) bezprzecznie jest ta sponiewierana przez międzynarodową mafję filologów postać greckiego aktywisty. Pozwolimy tu

sobie wyrazić nadzieję, że w tym sezonie chyba znajdzie się wreszcie miejsce w repertuarze stołecznych teatrów, gdzie wciąż jeszcze królują francuskie fabrykaty o Figarach i Dyndałach także i dla rodzimego arcydzieła, uznanego tak wybitnie przez całą współczesną krytykę.

W tym też czasie towarzysz Wilhelm Bałagan zapisuje się już do Związków Walki Czynnej, bierze udział w wielkich nanewrach na Błoniach i na Panieńskich Skałach, a kiedy wybucha Wojna Europejska mocno wówczas zapadłszy na piersi i galopujące suchoty, wskutek czego uznany za niezdatnego do służby wojskowej, natychmiast w ślad za bohaterską pierwszą kadrówką przekrada się koleją do Kielc, a stanąwszy zwycięską stopą na krwawej ziemi białego cara i zrzucając pierwszy graniczne słupy zaborów, wysuwa się aż do Piotrkowa na wysunięty posterunek. Odznaczony za waleczność natychmiast drugą oznaką I Brygady, awansuje na plutonowego, kolejno współpracując w „Dzienniku Urzędowym P. O. N.“, w „Legjoniście Polskim“, w „Do Czynu“, w „Do Broni“, gdzie broni dzielnie czynu legjonowego wobec nikczemnych napaści warszawskich szmat carskich w stylu „Kurjera Porannego“, wieszającego psy na Komendancie i generalnym jego sztabie. Tutaj to niestrudzony konspirator, bojownik i objazdo-

wicz z narażeniem zdrowia i życia zajmuje się rozwożeniem broszurki „Pod Sąd“, poczem raniony ciężko granatem pierścionkowym ostro szlifowanym w palec leczy się w Zakopanem, nie zaprzestając oczywiście ani na chwilę w trudzie i mozole uświadamiania ogółu w duchu zwalczanym z wściekłością przez służalców caratu i pachołków utuczonej Chyjeny.

W zimie r. 1914 na 1915 widzimy go na wygnaniu jako jednego z niezliczonych Fluchtlingów w niegościnnym Wiedniu, gdzie współpracuje w „Kurjerze Wiedeńskim“, pisuje świetne korespondencję do „Listów Ulotnych“ w Genewie, oraz przygodne znakomite artykuły do berlińskiego pisma „Polen“ i wiedeńskiego „Polnische Blätter“, rzucając czytelnikom w chłodzie i głodzie „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“ jak mówi wieszcz i zarabiając na chleb powszedni jako wicesekretarz sekcji prasowej Naczelnego Komitetu Narodowego, co jedynie mogło mu zapewnić dostatnią jako tako egzystencję.

Artykuły z tych czasów, następnie w jednym tomie zebrane p. t. „Do Czynu“ wyszły nakładem firmy wiedeńskiej Peretza i Synów i wzbudziły ogólne uznanie wszystkich kół niesolidaryzujących się ze zdrajcami przekupionemi przez Wielkiego Księcia i Izwolskiego i nie li-

żącymi skrwawionych łap Chyjeny. Na język niemiecki tłumaczył je dr. Zygfryd Sobelsohn. Wśród nich na szczególne wyróżnienie zasługują: „Filozofja Euckena i Macha“, „Macherzy panslawistyczni w Warszawie“, „Okrucieństwa Belgów w Kongo“, „W piekle francuskiej Legji Cudzoziemskiej“, „Kościuszko a Habsburgi“, „Testament Napoleona“, „Legenda o bombardowaniu Rheims“, „Knowania włoskie przeciw Niepodległości Polskiej“, „Korupcja w Rumunji“, wreszcie „Żydzi w powstaniu Listopadowem“, aby wyliczyć tylko najważniejsze.

Dalszy ciąg roku 1915-go zastaje towarzysza Bałagana kolejno w Cieszynie, w Łodzi, w Dąbrowie Górniczej, na innych najbardziej wysuniętych placówkach prasowych. Z tych czasów pamiętny jest artykuł jego a raczej mocarny zew do narodu p. t. „Przemów Dąbrowo!“, drukowany w tutejszym „Robotniku“, na którego redakcję zmuszony był gmach jeden przeznaczyć i oddać za pośrednictwem pułk. Bubera bezpłatnie rząd austrjacki, poczem w krótkim czasie za odbytą kampanię otrzymuje W. Bałagan rangę porucznika.

W Warszawie widzimy go wreszcie początkowo współredaktorem „Prawdy Czerwonej“ poczem w „Wiedniokręgach“ u boku T. Całogłówki

wreszcie we wszystkich innych centrach niepodległościowych, użerającego się z zaparciem siebie z czarnym blokiem carskich siepaczy, enpeerów, chadeków itp. bogoojczyźniaków. W tym czasie łączy się nasz kandydat dozgonnym węzłem z towarzyszką znaną w P. P. S. pod pseudonimem „Motyla“, córką znanego liberalnego bankiera i przemysłowca, by odtąd wspólnie z nią niezmordowanie pracować w organizacjach tajnych, czego owocem jest podręcznik wojskowy dla młodocianego wieku p. t. „Mały Strzelec“ napisany wspólnemi siłami.

Początek listopada r. 1918 zastaje obojga Bałaganów w Wiedniu, gdzie biorą oboje czynny udział w przepędzaniu okupantów, podczas gdy nikczemne herszty enludeckie wraz z paskującemi warchołami uciekają wówczas za granicę do Poznania, aby tam pod carskim generałem wieszatielem frondować przeciw Naczelnikowi i napychać mieszki obcą walutą dolarowych organów. Podczas tego nasz Bałagan bierze czynny udział w przewrocie listopadowym w Lublinie, w którym to gabinecie żołniersko-włościańsko-robotniczym oddają mu tekę ministra ochrony komunikacji. Po upadku tego gabinetu, jedynie ludowego i poważnego, któremu zawdzięczamy Górny Śląsk i inne sukcesy na polu dyplomatycznem i finansowym zo-

staje towarzysz Bałagan jako stały współpracownik pisma „Rząd i Gwardja“ powołany na szefa rozdziału i naczelnika sekcji w Ministerstwie Zdrowia Publicznego i Opieki Społecznej, za co w krótkim czasie obdarzony Krzyżem Walecznych i Polonia Restauranda, pracuje również krótki czas w Pacie.

Wybrany jednogłośnie do Sejmu przez aklamację wbrew intrygom swojskiej czarnej sotni i rozwydrzonej soldateski prowincjonalnych kacyków i enludeckich starostów pracuje we wszystkich bez wyjątku komisjach stosując taktykę obstrukcyjną zawsze z powodzeniem, równocześnie będąc bibljotekarzem G. K. W., zwalcza z żelazną energją zakusy obszarników z jednej strony a moskiewskich niepoczytalnych janczarów Łańcuckiego, z drugiej strony, oraz zamachy rozszalałej międzynarodówki Lutosławskiego z trzeciej strony, zawsze czynny, niezmożony, niestrudzony, ofiarny, pełen wiary, miłości i nadziei w zwycięstwo idei w służbie ideału i jego realizacji, narażając się śmiało na szyderstwa trefnisiów Chjeny i płatnych zbirów Czerwonego Caratu, dolarowej mafji karjerowicza Korfantazego, któremu zawdzięczamy utratę Górnego Śląska i Dolnego Cieszyna, a także panoszącą się bezkarnie rozszalałą drożyznę paskującego Lewiatana i wyuzdane orgje ban-

dytyzmu swojskich fas-czystów i Orgeszowców, żerujących rozpasanie na krwi i pocie proletarjatu miast i wsi, małorolnych, najmitów, w obronie których tylko nasza partja występuje do walki z otwartą przyłbicą i bez maski rzucając zuchwale żelazną rękawicę w twarz Chy-e-ny o miedzianem czole i zakrwawionych pazurach drapieżnego kapitalizmu.

Takim jest nasz kandydat towarzysz Wilhelm, znany Wam dobrze „Batory", „Pankracy Gulon", „Nienaski" itp. Wielostronny erudyta, kulturalnik i oświatowiec, włada piórem jak endecki klecha kropidłem. Obecnie pracuje nad broszurą „Jak Endecja zaprzedała Niemcom Wielkopolskę" i nad grubem dziełem naukowym o „Papieżu Aleksandrze VI (Borgii)". Że im da radę, to wie każdy, kto zna jego styl, a jak powiada przysłowie, „styl to człowiek". Towarzysz Bałagan zaś jako członek wybitny naszej Partji ma rozmach pióra, jak się patrzy, przed którym drży i kurczy się wpół cała nacjonal-demagogiczna Hakata Lewiatonowa Korfantazego i Spółki.

Nie potrzebujemy was tedy zachęcać do głosowania na towarzysza Bałagana. Bałagan sam się zaleca! Wierzycie w niego i ufacie mu towarzysze! Zaczem Bałagan musi być w Sejmie! I będzie.

MONOPOL NA NIEŚMIERTELNOŚĆ

Niech wystawi w którymś Pałacu Sztuki sześć płócien z martwą ekspresyonistyczną naturą (2 cytryny, rak pąsowy, 2 cebulki, Budha, anemony w wypalanej gliniance) Mela Joselowicz, (przyczem jeden portret Doriana Gancegala), a obserwujcie teraz jak reklama bez drutu rozchodzi się zaraz po całej Warszawie.

Mela przeszła sama siebie! Mela jest najulubieńszą uczennicą Matissa! Picasso powiedział o Meli, że jest największą malarką francuską od czasów Rosy Bonheur! Polka Joselowiczówna zakupiona do Galerji Luxenburskiej! Do Warszawy zjeżdża na krótki pobyt Mela Joselowiczówna. Etc. etc...

Artysta malarz Stinkgold wystawia portret poety Sotera Jaxy Rozłuckiego, autora: „Starych Kamei". Portret na tle siedmioramiennego świecznika.

„Stare Kamee“ w handlu nie szły. Ale jeżeli maluje go Stinkgold, ergo Jaxa Rozłucki musi być jednym z naszych... nasz człowiek... sympatyk siedmioramiennego polipa. I oto staje się cud. W księgarniach pojawiają się panie, panienki, panowie: Ja potrzebuję „Starych Kamei“. Czy państwo mają Rozłuckiego „Stare Kamee“?.. I w dwa miesiące cały nakład jest rozsprzedany.

W „Wielkim“ debiutuje Olga Lechicka. Śpiewa wielką partję Rusticany w Cyganerji Wieśniaczej Trombiniego. Jest blondynką na wskroś, ma nosek perkaty, głos tancerki bosonóżki, ale u Sema de Niego rozchodzi się fama, że Lechicka to jest na afiszu, a na paszporcie to jest Roza Quargel. Teatr Wielki wysprzedany do ostatniego miejsca, a w antraktach słychać takie rozmówki: Od czasu Carmen Melis to ja nie pamiętam takiej Rusticany... To nie jest debiut pani Izydorowo, a to jest sukces... Ta Lechicka to ona przeszła samą siebie... Pan wiesz, panie Salo, że Lechickę bierze już La Scala do Madrytu?.. Niech się pochowa nasza Gołogowska...

Gra w Konserwatorjum Janina Familier. Gra Sonatę F-mol Brahmsa, istotnie doskonale, a nad program walc Mephisto Liszta brawurowo. Gdy gra p. Familier, na sali jest familiernie i entuzjazm wprost tropikalny. Cóż się dziwić

potem, że krytyk Rozencweigel pisze zaraz: „z taką jedną sonatą to p. Familier może zdobywać cały świat“ („Świat“ z ul. Szpitalnej), a nagłówek to p. Rozencweigel zaraz daje: „Największa pianistka polska.“

Einstein przyjeżdża do Paryża i ma wykład w Collège de France. W Będzinie nie wiedzą jeszcze, gdzie jest Collège de Anatole France i nie wiedzą co jest Ein Stein der Weisen... A jednak w „Bendziner Sztymme“ punktualnie na trzeci dzień po wykładzie Einsteina w Paryżu będzie już artykuł wstępny p. t.: „Prof. Einstein kimmt nach Paris“...

W kino „Lewiatan“ idzie film amerykański: „Piraci powietrza“ i dzieje się w Wild-West. Szelmostwo nudne jak flaki z olejem, ale pilot, który na aeroplanie wlatuje przez rozwarte okno do restauracji, znajduje tam naszyjnik żony Maharadży Ofiru, połyka go pośpiesznie i porwawszy piękną siostrę szeika na wielbłąda, drugiem rozwartem oknem wybiega, przeskakując wzdłuż pędzący rapid Baltimore-Clondike-Cincinnatti... Gra sam Bob Dogg... Atoli ze sfer zakulisowo-kinowych rozchodzi się fama, że Bob Dogg to jest tak na afiszu, a na paszporcie to on jest Benjamin Kohn, a jego papa Menachem, to on miał w Rzeszowie trafikę. I w kinie „Lewiatan“ pełno, ścisk, duszno; jedną Kohnową na wpół zdu-

szoną cucą w kasie. A w antraktach słychać dialogi: Ja już dużo rzeczy zobaczyłem w świecie, pani doktorowo, ale coś podobnego, jak ten Bob to w żaden sposób!. Niech się schowa nasza Pola Negra i cała Asta Nielson... Co Bob Dogg, to Bob Dogg!...

W Teatrze „Mały Trianon“ grają dwie sztuki salonowe, kolejno: najpierw angielską, potem francuską. Francuską napisał Armand de Prevoir. Tytuł: „Ostatni kąsek Don Jouana“. Angielską Archibald Foxterr. Tytuł: „Pierwszy krok Don Kiszota“. Na angielskiej są puchy i wata. Na francuskiej pełno, mężowie trzymają żony na kolanach, w przejściach stoją ministrowie i ambasadorowie, na kasie napis: „Kasa na cztery tygodnie zamknięta“. Dlaczego tak? Albowiem w gazetach poszła notatka, że Armand de Prevoir to właściwie tak na afiszu i w Paryżu, a w paszporcie to Silberstejn z Łodzi, syn tego, co to pan wisz. Oprócz tego w sztuce francuskiej gra panna Szreniawa (Kahane) więc bardziej interesująca niż panna Mirska. I publiczność premierowa, jako że w większości mniejszościowata o tem wie. W antraktach tedy słychać na głos takie dialogi: Ta Szreniawa to ona ma szyka... Spostrzegłaś pani Lilo jak ubrana ta Szreniawa... To jest suknia?.. To nie jest żadna suknia, mój pułkowniku, to jest dzieło

sztuki, echt sztuki... Oo, ale Mirska nam się psuje... To nie dla Mirskiej rola... Ile ta Mirska może mieć lat? Na mój rozsądek to ona musi mieć naokoło trzydzieści... Ani się nie wymyła do Szreniawki nasza Mirska!.. No i ta suknia, ta suknia! Boże przepuść! okropna...

Oto są przygodne uszczknięte kwiatki solidarności wybranego narodu „chosen people!“

Oto z jakich cieniutkich, pajęczych niteczek, delikatnych, często niewidzialnych, niedostrzeżonych niteczek sporządza się misternie tę stalową sieć, którą mały Dawidek zarzuca na łeb Goljatowi, w którą piękna Judyt wikła olbrzymiego Holofernesa! Ot solidarność! Przykład z niej brać!

OGRÓD SAS...SOONÓW.

Saski Ogród w Warszawie w szóstek wieczorem. Szóstek, t. j. od sabathu nazwany sobotą, szósty dzień w tygodniu.

Jest dzień upalny, duszny, trzeba tedy trochę zaczerpnąć powietrza. Jak też wygląda teraz ten dawny letni salon Warszawy z przed lat 40, gdzie przy dźwiękach orkiestry pod osobistą batutą gościnnie występującego króla walców Johanna Straussa, ongi promenowała wytworna publika, jak w pierwszym akcie „Damy Pikowej“ Czajkowskiego. Istnieje taki stary czerwono oprawny album Kostrzewskiego, a w nim przemiłe obrazeczki figurujące rozmaitych habitués Ogrodu Saskiego, panie z tiurniurami, babcie z pieskami, bony z dziećmi, emerytów pijących „wody“, lowelasa „absztyfikującego“ się do młodej wdówki, starego uczonenego „zażywającego aury“, bony z dzieckami,

samotnika w pustej aleji, panny na wydaniu, karmiące łabędzie...

Jak też to teraz wygląda ten letni salon Warszawy? Przyjaciel sceptyk ostrzega: weźcie dwie chusteczki i mocno je skropcie a raczej zamoczcie jedną w wodzie kolońskiej, drugą w jakiejś soli orzeźwiającej. Niewiadomo, co nas jeszcze czeka.

— Jak to? Przecież idziemy tylko do Saskiego Ogrodu.

— Saskiego? Dawniej był Saski, a w wersalskim stylu, potem w r. 1816 przekształcili go na english fashion a teraz jest anglo-saski a raczej, jak ty nazywasz, anglo-sassooński... Zaraz się o tem przekonasz. Let us take a walk...

— Well, i hope we shall have a fine splendid walk my fried!...

Idziemy. Już w bramie od ulicy, która dziś jeszcze narazie zowie się Królewską a za lat 10 będzie się nazywać ulicą Zamenhofa, ma się przedsmak tego, że bytujemy w mieście cokolwiek przeludnionem. Olbrzymie fale ludzkie wylewają się z ogrodu i spienione fale ludzkie wlewają się w ogród. Ale już zaraz w pierwszym momencie odczuwasz nowe rozkosze przejezdnego turysty i etranżera, zwiedzającego całkiem obce miasto. Dolatują cię dźwięki mowy stosunkowo mało znanej. Jeszcze u wejścia sa-

mego możesz natrafić na jakiegoś rodaka, przypadkowo tu zabłąkanego, lub równie jak ty zwiedzającego ten przepyszny park, oznaczony gwiazdką w Baedekerze. Ale im głębiej w ogród się zapuszczasz, tem podróżujących rodaków już mniej a otoczy cię świat całkiem obcy. Jesteś już w stolicy całkiem innego państwa. Ma to swój niezwykły urok. Ludność widocznie bogata, ubrana dostatnio, płeć piękna nawet jeżeli już nie wykwintniej, to modniej i jaskrawiej niż w stolicy sąsiadującego kraju. Gdyby któregoś dnia nieco gruntowniejsze mycie i staranniejsze czesanie weszło w obyczaj domowy tej ludności, czyniłaby wtedy stanowczo mniej orjentalne a więcej higjeniczne wrażenie. Na oko poznać zaraz, że tu wszystkie warstwy ludności tybulczej są reprezentowane, jak również każdy wiek ludzi od maleńkich dzieci, które zowią tu the bachores aż do starców the hassidims, od dziewcząt the shicses aż do poważnych matron the perlmutters. Rozciekawiony i zaintrygowany coraz więcej zaczynasz się teraz nie tylko rozglądać, ale i przysłuchiwać mowie tutejszych krajowców. Przyjaciel-bywalec jeszcze raz zwraca ci uwagę, że jest to ogród nie Saski ale anglosaski coś w rodzaju Hyde-Parku, jakiś Anglo-Sassoon-Park. Pod wpływem tej sugestji zaczynasz się przysłuchi-

wać rozmowom i istotnie dosłuchiwać jakichś fonetycznych analogij. Dochodzą cię raz po raz jakieś dźwięki nieco chrapliwe z częstem: sz, i z częstem: łt, i częstem: aj.

Idziemy główną aleją, przepełnioną dziećmi, paskarkami, bonami, szmuglerami, mamkami, szyberami, wesołemi wdówkami, smutnymi bankrutami...

Gwar, tłok, wrzask, zaduch...

— How do you do Rosenkrantz?

— Thank you very haraszos Guldenstern.

— How bussiness?

— Schlak soll treffen. Plajte! Komplet plajte...

Przechodzimy koło dwóch ławek. Na ławce siedzi dwóch widocznie artystów, gdyż jeden coś kreśli sobie w szkicenbooku. Dolatują słowa, które równie dobrze brzmią w angielskim, jak i w bliższym nam żargonie: pikczer, skulpcziur, ekshibiszen, niuspejper, pentyng, fajn arts... I to jedno słówko: „fajn“ zaczyna ci coraz częściej się powtarzać w różnych podsłuchanych dialogach.

— Luft iz zdieś very fajn Marcus...

— Mir iz kołd, Benek, aj haw e bad hedek!...

Patrzymy z współczuciem na mr. Mar-

cusa, któremu i zimno jest i głowa go boli, kiedy tuż z boku dochodzi znów:

— Fine mantle u miss Eisickson, fine und simple...

— Keyn Wunder my Feybusch! Papa is closed...

Naprzeciwko nas żegna się z sobą jakieś towarzystwo.

— My compliments to your papasza, madam Pinkus...

— Good bye my goy...

Z lewej słychać chłopczynę, napierającego się siedzącej na ławce i szeroko rozkraczonej cioci:

— Bring mii some peaches tante!

— Peaches? Samuel? You are myszugge... Oranges uiłst dus? sy gitt...

— Aj uił e kep of kakao and kieks! tante.

— Myłk bekommste Samuel e bisseł...

— Giw mi also e glas of myłk tante.

— Fysch uiłłste nysz Samul? .. Heryngs... ezcuse...

— Aj uił e glas of kakao tante...

— Heryng bekommste maj boy...

I tak ze wszystkich stron ogrodu, ze wszystkich ławek i grup dolatuje jakiś język przedziwny, w którym jest moc dźwięków niby angielskich, semi-angielskich i moc znów słów, źró-

dłosłowów i zwrotów bliższej nam krajowej gwary, co razem wywołuje wrażenie jakiegoś nowego idiomu, jakiegoś nowego esperanto, jakiegoś języka czy żargonu przyszłości. Złudzenie to wzrasta, gdy się raz po raz słyszy jeszcze przy ławkach bony angielki, na gwałt uczące młode pokolenie tutejszych krajowców języka panującej na globie rasy.

— Speak english, if you please Reginka, english is easy!

— I hope, i understand alles, Fraulein...

— Do you speak Aronchen, please...

— Well... What does the world Fraulein?...

I tak idąc przez Sassoon-Garden alejami i przystając tu i ówdzie, słyszy się już wyłącznie język XX-go wieku. Czasami sprawia to nawet wrażenie, jakby się było w uroczej dzielnicy londyńskiej Whitechapel, lub w nowojorskim Broadway, tembardziej, że często natrafisz na młodzieńców z pipami w zębach, w garniturach first-class, rozgwarzonych o goalach, o tempach, lekkiej atletyce, boksie, podrabianiu tysiącmarkówek, fałszowaniu kokainy i innych sportach...

I tak upływa na obserwacji dobra godzina. Z chustek trzymanych ustawicznie przy nosie wywietrzała już kolońska woda i trefle incarnat. Jesteśmy już bliscy omdlenia, gdyż wnętliwa

woń otoczenia wdziera się do nosów bez przeszkód. Zapuszczamy się w jak najodleglejszą małą, zaniedbaną alejkę. Jest trochę puściej... ławka wolna, siadamy... oddychamy...

Powoli zbliża się jakiś człowiek z wielkim, długim szpikulcem w ręku. Jest to funkcjonarjusz miejski, osoba na pół urzędowa. Jego misja życiowa polega na czujnem kontrolowaniu rozsypanych na ziemi śmieci, łupin, pomarańczowych skórek, skorupek od jaj, numerów: „Hajnta", „Kurjera Porannego", „Momentu", „Berliner Tageblatu" i „Wiener Morgenzeitung", na nabijanie tych śmieci i brudów na szpikulec i na cierpliwem a systematycznem przenoszeniu tego porannego i wieczornego paskudztwa do specjalnych śmieciarek. Stróż ładu i porządku, a w tych warunkach Herakles, spełniający syzyfowe prace. Jest to człowiek starej daty, z tej gwardji, która się nigdy nie poddaje, jeden z ostatnich Mohikanów, jeden z pozostałych tu i przeznaczonych na wymarcie Arjów.

Podchodzi do nas zwolna i ciężkim krokiem...

— Panie dozorco! Gdzie są łabędzie? Jeden tylko został?... Gdzie reszta?

— Niema ich. Wyzdychały. Z obrzydzenia, ze wstrętu wyzdychały jeden po drugim. Zaśpiewały na ostatku każdy po kolei swój ostatni śpiew łabędzi... „Nie damy ziemi, gdzie nasz staw"... i tego... i wyzdychały...

— No, a statuy?... Rzeźby?... Gdzież te są?...

— Uciekły... Po kolei nocami uciekały... tędy na Saski Plac... Nie mogły biedaczki znieść już tego widoku... Co im się dziwić... nieprzywykłszy... Choć tam wysoko poustawiane, ale złe powietrze sakramenckie do nich dochodziło i ten szwargot zatracony... Najpierw uciekła „Poezja“, biedaczka aż zżółkła, zczerniała ze zgryzoty, aż zaczęło opadać z niej kawałkami, potem „Sztuka“, potem odrazu wszystkie „Cztery Pory Roku“, głównie za namową „Wiosny“. „Matematyka“ i „Muzyka“ jeszcze się ociągały, bo podobno ten naród bardzo je popiera, ale namówiła je „Flora“, że to wstyd, żeby tak same sterczały na postumentach, że tu nie dla nich miejsce, a dla „Lichwy“, „Giełdy“ i „Ruji“... Ostatnia uciekła „Higjena“ niedawno nad ranem, nałykała się smrodu, nasłuchała się paskudztw, zaczęła ją kłuć kolka, raz po raz robiło się jej niedobrze... kolana jej kawałek się odszczerbało... więc i ona dała za wygraną, zeszła z postumentu i w nogi... Co im się ta dziwić moje państwo! Choć to kamień, ale i swoją ambicję ma... Woli ustąpić... Tfy, psia kość...

MADEMOISELLE YVONNE DUPONT.

(Bona nowej dyplomacji.)

Mademoiselle Yvonne Dupont, prywatna nauczycielka języka Franków, upada od kilku tygodni ze znużenia i przemęczenia.

Już od 6-tej rano zaczynają się lekcje i tak trwają do 13-tej godziny w nocy. Pracuje literalnie 21 godzin na dobę.

Pierwszy przyjeżdża samochodem drugi zastępca wicesekretarza stanu.

Od 7 do 8-mej kuje przy biurku zasady gramatyki leader grupy parlamentarnej K. P. Y.

O ósmej zaczyna się obkuwanie z kandydatem na ministra spraw zagranicznych w gabinecie jesiennym.

Poczem Yvonna Dupont zjada na kolanie śniadanie, a po śniadaniu znów sama przydzielonym jej samochodem jeździ po mieście do ministrów, szefów sekcji, dyrektorów departamen-

tu, vicekontr-admirałów, wojewodów i kolejno wtajemnicza ich w misterja mowy Gallów.

Nie dziw więc, że potem spotykający się ze sobą parlamentarjusze i dygnitarze zatrącają w swych rozmowach cokolwiek stylem Ollendorfa:

— Dzień dobry panu posłowi. Dzieci wasze czy zdrowe i co porabia sąsiadka pańskiego wuja.

— Sąsiadka mojego wuja jest zdrowa, ale sytuacja polityczna jest zachmurzona.

— Czy w sklepie naszego przyjaciela zakupię masła i jajek?

— W sklepie przyjaciela mojej ciotki zakupisz panie podsekretarzu nici i igły ale nadzieja, aby przyjaciel naszego stronnictwa dostał tekę marynarki wiślanej bardzo zawiodła.

Ile razy nadchodzi czas przesilenia ministerjalnego mademoiselle Yvonne Dupont dostaje moc propozycji udzielania nowych lekcyj. Są to przeważnie kandydaci do portfelu spraw zagranicznych, którzy dopiero w r. 1919 przypomnieli sobie o istnieniu niejakiej Francji i o egzystencji panny Dupont w Warszawie. Kandydaci przeważnie doskonale mowią po niemiecku, cokolwiek po ukraińsku, ale gwarami narodów zachodnich dotychczas się nie interesowali. Tem należy sobie wytłumaczyć silne zdenerwowanie panny Dupont, wtedy, kiedy dowiaduje się po

raz pierwszy, że znów grozi przesilenie ministerjalne. Przez fazę takiego zdenerwowania przechodzi sympatyczna Paryżanka, urodzona w pięknej Lozannie, regularnie co kwartał, ale zachodzi obawa, że będzie przechodziła co miesiąc, gdyż jak wiadomo horyzont polityczny nad Wschodnią Europą nietylko się nie rozjaśnia ale raczej cokolwiek chronicznie chmurzy.

Można sobie więc wyobrazić niepokój Dupontki na myśl, że kryzysy ministerjalne będą się powtarzały teraz co miesiąc. A tu pokusy są wielkie. Ten daje za lekcję 20 dolarów, tamten obiecuje zawieźć ją do Paryża, którego jeszcze na oczy nie widziała, trzeci zapewnia, że jeżeli dostanie tekę, to ją, a nie kogo innego zamianuje z miejsca szefem biura prasowego, czwarty gwarzy coś o pudzie cukru. Nic więc dziwnego, że blada Yvonna upada, upada formalnie ze znużenia.

Ostatnimi czasy przez jej przedpokój przeszła cała fala czy falanga mężów i młodzieniaszków. Wszyscy są pilni, uczą się żarliwie, zadania piszą czytelnie, przytem są tacy zabawni, tacy interesujący, tyle mają do opowiadania o sobie wzajemnie i z taką szczerością powierzają jej najdyskretniejsze tajemnice z frontu i z dyplomatycznego życia Wschodniej Europy, że listy jakie Yvonna pisze do swego narzeczonego

Etienne Müller w Bernie przepełnione są wysoce ciekawemi zakulisowymi szczegółami z życia dalekiego Wschodu:

„Obecnie, mój drogi Etienne, wybuchł znowu kryzys całkiem przy-Patkówy. Gabinet obalili tutejsi włościanie, którzy podobno są już bardzo wyrobieni politycznie. Ich marszałkiem jest p. Vitosse, który chodzi bez krawatki, ale za to ma w głowie więcej espirt od tych co mają białe kamasze, Ten p. Dąbalski, o którym Ci pisałam drogi Etienne w poprzednim liście obraził się na p. Patka, że się z nim nie pożegnał i wyciągnął z tego konsekwencje jak się tu mówi. Wyciągnąwszy konsekwencję podał się do dymisji a z nim inni. Straciłam w nim ucznia. Tutejsi syndykaliści i radicaux prywatnie bardzo są na włościan w Izbie rozdrażnieni, za to że nie chcą jakiegoś tam sekwestru. O co chodzi dokładnie nie wiem, ale się dowiem i szczegółowo ci opiszę. Kłopot mają teraz z teką rolnictwa, bo kandydatów jest zadużo. Mój uczeń Pankracy Popiel mówi o tem, że jest cymbalistów wielu, ale żaden z nich niechce zagrać na weselu.

Gabinet, jaki się teraz tutaj w Warszawie formuje będzie albo centralnie-ogrzewalny albo na lewo prawicowy, to znaczy albo fachowy albo parlamentarny. Rozumiesz mnie, drogi Etienne?. Jeżeli będzie parlamentarny, to nie

będzie w nim ani jednego fachowca, ale zato wnet będzie kryzys i ja znów będę miała dużo dobrych nowych lekcyj i może raz wreszcie zawiezie mnie który do tego Paryża, co wszyscy mi obiecują. Może także zwyciężyć tak zwana koncepcja urzędniczego gabinetu i wtedy kryzys przyszłaby dopiero w czerwcu. Wogóle jednak na sytuację zapatrujemy się tutaj pesymistycznie, gdyż na tej tak zwanej platformie, o której ci pisałam, w obecnem stadjum przesilenia nie zmieszczą się wszyscy ci, coby chcieli zostać ministrami, skutkiem czego zapowiada się pobór nie tyle najzdolniejszych ale znów przy-patkowych talentów. Pocieszają się jednak wszyscy tem, że p. Hausnerre, także mój elew, dostaje tekę robót publicznych, co pewnie przyspieszy budowanie tej dzielnicy byłych ministrów, tego miasta-ogrodu, które jak ci pisałam, ma tu powstać za Brudnem. Ale nie mieszaj tego Nowego Brudna ze starem, gdzie jest cmentarz. Cmentarz byłych ministrów jest w innej stronie miasta, a gdzie, to ci napiszę w przyszłym liście. Teraz całuję cię po tysiąc razy w uszko i w nosek twój perkaty i rozkoszny. Tylko mnie nie zdradzaj i nikomu nie mów o tem co Ci pisze Twoja Yvonne“.

ATAMANOWA NA WYGNANIU.

(Korespondencja własna „Kurjera Marszałkowskiego" po wyprawie kijowskiej).

Stosownie do telegraficznego polecenia Redakcji postarałem się o możność osobistego widzenia się z bawiącą w podwawelskim grodzie panią atamanową i oto garść szczegółów, jakich mogę wam udzielić.

Jej dostojność stanęła w hotelu Berlińskim na Stradomiu wraz ze świtą oraz kilkoma wyższymi oficerami ze sztabu jej znamienitego małżonka. Pani Nastia Petluchowa przybyła do naszego grodu z synkiem Aleksym i córeczką Praksedją. Jest to osoba w kwiecie wieku, dobrej tuszy, nadzwyczaj wytwornych manier i jak to dostrzec mogłem dużej energji i przedsiębiorczości.

W świcie jej znajdują się przedewszystkiem pułkownik Ferdynand Otto Müllerenko, dalej ekscelencja Szwiec, były pisarz gminny

a obecnie referendarz wielki byłej republiki ukraińskiej, dalej praporszczyk Dmytry Makuch, przydzielony do ukraińskiej ambasady w Algerze z tytułem radcy IV klasy, oraz Bazyli Batiarow, współredaktor wiedeńskiego pisma „Prapor" (niestety niebardzo dla nas życzliwie usposobionego). Ponieważ pani atamanowa cały dzień była zajęta w swoich apartamentach i to jak mnie lojalnie objaśniono praniem bielizny, której nie wielki zasób udało się wziąć na wygnanie, przeto informacji udzielił mi łaskawie ekscelencja Szwiec.

Pani Atamanowa wraz z orszakiem opuściła pospiesznie stolicę Kamieniec dnia 2 listopada wieczorem, zaraz po uroczystościach wspaniałych, jakie odbyły się z racji rocznicy zdobycia Lwowa przez wojska zaprzyjaźnionego z Polską przyszłego państwa Ukraińskiego. Uroczystości wypadły podobno imponująco. Na nabożeństwie w cerkwi była jeszcze cała jeneralicja, korpus dyplomatyczny, cały gabinet ministerjalny, restaurator i właściciel „Hotelu Odeskiego" p. Silberfarb i t. p. Po odśpiewaniu hymnu „U susida chatka biła", odbyła się wspaniała rewja i parada wojskowa, w której wyjątkowo świetnie sprezentował się pułk hajdamaków z Drohobycza w zielonych hajdawerach, maszerujący w takt z nożami w zębach i w czer-

wonych butach palonych na lewej nodze pod komendą kontr-admirała Lysoguba. Dla uczczenia jeszcze tej rocznicy zgwałcono tegoż dnia resztę żydóweczek, bez względu na wiek i zatrudnienie, oraz oderznięto ręce stu bachorom żydowskim niosącym w pochodzie żółto-zielone chorągiewki republiki Ukraińskiej.

Tego dnia wieczorem pospiesznie ewakuowano stolicę Kamieniec Podolski. Dokąd udał się prezydent republiki Izydor Mazepa, dokąd podsekretarz stanu Hołoduchowicz i gdzie obecnie przebywa sam dostojny małżonek ataman Semen Petlucha, nowy aljant Rzeczypospolitej Polskiej, o tem ani ekscelencja Szwiec, ani sama madama Atamanowa nie wie dokładnie. Jedni twierdzą, że do Czerniowiec, inni że do Bender, inni że wprost do Kulparkowa, inni że ukrywa się w Warszawie. W każdym razie jak mnie objaśniał Szwiec, generalissimus jest już cokolwiek znużony i zniechęcony, ale w każdym razie doskonałej myśli i lada chwila wyruszy na powtórne zdobycie Kijowa, Czernichowa, Krymu, Jass i t. p. Ataman żywi duży żal do Denikina, którego nazywa Prusakiem, twierdząc, że właściwe nazwisko jego jest Denikind.

Gdzie udaje się obecnie atamanowa z dziećmi dotychczas jeszcze niewiadomo i nikt ze świty nie umiał mnie objaśnić. Prawdopodobnie

albo do Włoch (pod Warszawą) albo do Pragi (pod Warszawą), gdyż inne stolice z powodu komplikacji politycznych nie wyraziły życzenia goszczenia dostojnej wygnanki. Z dużą i widoczną niechęcią wyrażał się ekscelencja Szwiec o atamanach: Hołupku, Zielenym, Krasnym i Dienszczyku, którym podobno udało się znacznie więcej miast spalić, znacznie więcej zrabować i znacznie więcej wywieść. Pod względem materjalnym tak czcigodna małżonka atamana jak i jej dziatwa są mniejwięcej zabezpieczeni. Aczkolwiek szybka zmiana sytuacji i likwidacja rządu kamienieckiego nie pozwoliła Nastji Petluchowej zabrać z sobą nawet kufrów i necessèrów podróżnych, to jednakże świta zdołała nadludzkim wysiłkiem ocalić jeszcze 28 worków z karbowańcami przedstawiającymi łączną wartość około dwóch miljardów koron austrjackich; że zaś korona austrjacka idzie obecnie z godziny na godzinę raptownie w górę, przeto byt rodziny atamana zdaje się być zapewnionym. Nadto w ostatniej chwili zwrócił się do atamana telegraficznie z Nowego Yorku impresarjo Charles Frohman z propozycją wygłoszenia odczytów o swych przygodach w 236 miastach Stanów Zjednoczonych, Kalifornji i Kanady, ewentualnie zorganizowania podróżującego chóru ukraińskiego; najprawdopodobniej propozycja ta

będzie przez atamana przyjęta i należy się spodziewać, że może jeszcze w grudniu t. j. przed zdobyciem Kijowa, Krymu i Jass ataman do Ameryki wyjedzie. „Jeżeli go oczywiście nie powieszą na pierwszej lepszej suchej gałęzi“, dodaje z typowo dyplomatycznym sceptycznym uśmieszkem ekscelencja Szwiec.

Oficerowie sztabowi i panowie ze świty ubrani w oryginalne i bardzo kolorystyczne mundury nowego mocarstwa czarnomorskiego; na głowach noszą duże papachy futrzane albo też czaka cokolwiek bardzo zbliżone do austrjackich; na sobie mają zielone czerkieski i ogromnie czerwone baszłyki; aczkolwiek bardzo dystyngowani dystynkcyj oficerskich nie noszą; demokratyczność nowego imperium zaznaczają już w wzajemnej intytulacji oraz w swobodnych epitetach jakie sobie wzajem nadają. Kurjer dyplomatyczny przydzielony do boku pani atamanowej wyjątkowo uprzejmy pan Bezpałko Hrehory gra wprost wirtuozosko na bandurze i przez cały czas mojego interwiewu z ekscelencją Szwiecem przygrywał nam melancholijnie dumki i szumki, siedząc bezpretensjonalnie na ziemi z nogami podwiniętemi pod siebie jak obyczaj narodowy każe. Sam zaś referendarz tajny radca Szwiec ma zwyczaj również czysto i typowo ukraiński ustawicznego przegryzania ziarenek od

słoneczników i wypluwania łupinek przedsię czasem o dwa metry.

W tych dniach ma się też ukazać uroczysta hramota atamana do rządu Rzeczypospolitej Polskiej, zredagowana podobno w nadzwyczaj ciepłym tonie.

O dalszych planach pani atamanowej doniosę w następnym liście.

P. S. Dziś wieczorem w „Hotelu Berlińskim“ dokonano niesłychanie zuchwałej kradzieży z włamaniem. Poszkodowany jest kupiec Aron Raciążker, któremu skradziono podręczny kuferek. W kuferku tym było 2.800 rubli srebrnych, 20.000 kierenek dumskich, 30.000 marek pruskich w złocie oraz brylanty wyjęte z pierścionków wartości około ćwierć miljona. Istnieją podejrzenia, że Raciążker pieniądze te miał wywieść szmuglem do Niemiec. Raciążkera aresztowano. Również aresztowano kilka wybitnych osobistości z otoczenia Atamanowej Anastazji Petluchowej. Śledztwo w toku.

STACJA SAINT-MOST
czyli z Warszawy do Wawra.

Jesteśmy „przedmurzem cywilizacji... Francuzami Północy... awangardą kultury zachodniej"....

Dobrze. Jest dzień świąteczny i pogodny. Trzeba się wybrać do kuzynów pod Warszawą. Kolejka Jabłonna - Wawer. Pociąg odchodzi punktualnie 10. 25. Do kolejki schodzi się po wyszczerbionych, wygryzionych, spadzistych, stromych schodkach. Nieprzebrany tłum wysypuje się z przepełnionych tramwajów i rzuca się w gorączce ku schodom. Jakiś zziajany jegomość pchnął jakąś damę zaawansowaną już w siódmy miesiąc, zaczem lekko napomniany, wymyśla jej w głos od ostatnich. Schodzimy szybko po schodkach, popychani przez ciżbę prącą z góry i roztrącani przez czeredę, wchodzącą po schodach do góry. Przed stacją tłum

nieprzeliczony faluje na wszystkie strony. Babinie, sprzedającej w odkrytym koszu frukty południowe, wysypują się pomarańcze na bruk, z czego korzysta garść chłopczysków i buchając w mig po jednej, rozlatuje się na wszystkie strony. Nikt ich nie łapie, nikt im słówka nie powie, przeważnie wszyscy się śmieją. Policman podchodzi do beczącej babiny i zapisuje jej nazwisko, jako że w tem miejscu ponoć uprawiała swój zawód kupiecki nieprawnie.

Jest godzina 10 minut 39. Bilety trzeba kupować „we środku", tak objaśnia nas jakiś, zdaje się tragarz kolejowy, który przed chwilą niosąc nieostrożnie jakąś skrzynkę z wadliwem okuciem, rozdarł jakiemuś jegomościowi nowiuteńkie paletko, a na skromną uwagę, iż trzeba nieść ostrożnie, zwymyślał jegomościa w nowem rozdartem palcie od paskarzy, chamów i burżujów.

Zapowiada się więc nieźle. Temperatura 22^0 Celsiusza nietylko w cieniu, ale i w lodowniach. Wchodzimy w budynek stacyjny. Stacja nazywa się i ma napis St. Most, co przypomina łudząco jakieś szwajcarskie Saint Most, gdzieś między Lozanną a Montreux, Saint Most... Schodzi się jeszcze po kilku wąskich, ciasnych schodkach. Niska, wąska, długa kicha. Okna szczelnie i bezczelnie pozamykane, ale zato od

lat niemyte i brudne. Powietrze już teraz ciężkie, duszne i dławiące. Kicha stacyjna omal po brzegi zapełniona skazańcami. W tłoczącym się tym tłumisku dwa widoczne ogony opartych wzajemnie na swoich plecach pasażerów, posuwających się zwolna ku okienku kasowemu. Raz po raz ktoś obciera sobie pot z czoła, z karku, z nosa, a wtłoczonym w ogonku ze ścieśnionemi rękami pot z czaszek obcierają usłużni sąsiedzi.

Ogniwa ogonka zwolna zbliżają się do kasy, 10 min. 57. Pasażerowie wszyscy wyciągają tysiączki, w kasie nie mają absolutnie setek. Nie przygotowali. Nie wiedzieli, że to święto i że będzie większy ruch. Stąd ciągłe afery przy okienku i polemika przybierająca nieparlamentarne formy.

— Państwo są obowiązane płacić drobnymi.

— Pan masz mi wydać z tysiąca i koniec.

— Pani mi nie będzie rozkazywała...

A z tyłu ogonek zniecierpliwiony prze naprzód i fuka:

— Proszę tam do choleryny ciężkiej... Jazda z tymi biletami te tam z frontu.

Wreszcie przychodzi i na ciebie kolej. Wymieniasz stację i dajesz marki ściśle wyliczone. Kasjer zdumiony zaczyna liczyć. Liczy i liczy

myli się, poprawia, żąda od ciebie jeszcze 30 marek, potem przeprasza, oddaje ci 40 i znów cofa, znów przeprasza. Okazuje się, że jest to egzemplarz ludzki, cierpiący na porażenie mózgowe od cyfr, „atrophia matematica" i nie leczony już od lat trzech.

Godzina 10 minut 15. Z triumfem trzymając w jednej ręce wysoko nad tłumem trzy bilety, dwie paczki i parasol, a w drugiej palto, portfel, parasolkę, przeciskasz się przez tłum, który przez ten czas zwiększył się jeszcze, tworząc zbitą już masę ciężko oddychającą, ale jeszcze ciężej klnącą na nasze porządki, na naczelnika stacji, na dyrekcję, kolei, na akcjonarjuszów, zarząd, ich rodziny i protoplastów. Powietrze nie jest już ciężkie, ale jest jakby wypompowane. Przed drzwiami szklanemi, zamkniętemi szczelnie na klucz staje jakiś dygnitarz i coś majstruje kluczem. Westchnienie ulgi wydobywa się z tysiąca piersi żywcem duszonego i torturowanego tłumu. Zakołysało się tylko i ławica ludzka prze ku oszklonej ścianie, ku drzwiom, ku inwiduum stojącemu za drzwiami.

— Prędzej! prędzej, na Boga! My się dusimy! Litości Panie starszy! Panie naczelniku prędzej!...

Ale nie! to była tylko iluzja. Inwiduum

za drzwiami z piekielnie jadowitą miną przygląda się stłoczonej, zipiącej ciżbie, poczem najspokojniej splunąwszy tylko z pogardą, odchodzi...

10-ta minut 37. Ogólny, solidarny chór pomst i przekleństw. Na schodki i wejście do kichy stacyjnej już nikt dostać się nie może. Pan Bóg wysoko a bufet daleko. W jednym rogu kichy wybucha pierwsza afera. Jakaś pani jakiemuś panu stanęła obunóż na nagniotkach i równocześnie łokciem zbiła mu okulary amerykańskie. Pan oczywiście stracił panowanie nad sobą i wypowiada jej szczerze, co myśli. Otoczenie w ten moment dzieli się na dwa obozy, prawicowi stoją po stronie damy, lewicowi po stronie nadgniecionego nadgniotka, poczem pada oczywiście słowo: bolszewik! Tłum się skłębił, słychać głuche uderzenia, przekleństwa, wszystko staje na palcach i wyciąga się pręży, żeby widzieć „kto właściwie komu dał", kiedy nagle w drugim rogu kichy zrywa się krzyk okropny i znów wszystkie głowy zwracają się w przeciwna stronę.

— Ratunku! Wody! Wody!

Jakaś sędziwa pani zemdlała!... Staruszka zemdlała. Godzina 10 minut 49. Za oknami widać jakieś bezładne poruszenia, jakieś bieganie bezsensowne, słychać jakieś nawoływania niepotrzebne, okrzyki, wyzwiska, poczem sapiąc

i parskając wtacza się na stacyjkę obszarpaniec pociągowy z półzardzewiałą, zdezelowaną lokomotywą, z jakiemiś obszarpanemi, połamanemi, nieczyszczonemi, nienaprawianemi wagonami.

Teraz dopiero indywiduum za drzwiami wkłada flegmatycznie klucz do drzwi szklanych, poczem otwiera jedną połówkę tych drzwi, wąską połóweczkę. I teraz dzieje się coś straszliwego, coś zgoła bolszewickiego, azjatyckiego, coś, co przypomina piekielne wizje Goyi a nie ustępuje w niczem Inferno Dantejskiemu. Tłum, więziony w kiszce stacyjnej, wpół upieczony, wpół ugotowany we własnym pocie, staje się dziką, oszalałą bestją. Pierwszy wiew powietrza świeżego od Wisły działa na niego oszałamiająco. Kopytami i kułakami toruje sobie drogę do wolności. Jakaś dziewczynka sześcioletnia potknęła się i upadła. Tłum, party tylnemi szeregami tratując przechodzi po niej bez pardonu. Płacz spazmatyczny, jęki, krzyki, urągania, przekleństwa, wyzwiska. Ten ma zgniecioną na nic klatkę piersiową, tamtemu złamali ostatnie zdrowe żebro, trzeciemu ściągnęli portfel, paszport, testament i złotą dewizkę... Ale powoli wszyscy wysypują się na powietrze... Jest godzina 11 minut 58, temperatura 33 stopnie Cels. w cieniu. Wreszcie jesteśmy na peronie i oddychamy, oddychamy i rozglądamy się...

Stacyjka nosi nazwę: St. Most... Saint Most... jakby w Szwajcarji mogła się nazywać. Ale jest różnica. Takiej drugiej bowiem, jak ta, nie znalazłby już nikt na całym świecie! Ani w Klondyke, ani w Transvaalu, ani w murzyńskiem Kongo, ani w sowieckim Krasnośmierdińsku... Takiego brudu, niechlujstwa, nieładu, nieporządku, zaniedbania, opuszczenia, takich kup śmiecisków, rozlanego mleka i nafty, rozsypanych węgli, pogiętych latarni, zwisających okiennic, zgiętych sztachet, zwisających podartych afiszów, fałszywych orjentacyjnych napisów, takich trzech zegarów zgoła odmienne godziny wskazujących, takiego ścisku, zaduchu, tłoku w poczekalni, takiej dezorganizacji, dyslogiki i bezsensu w manewrowaniu publicznością, w sprzedaży biletów, w puszczaniu i wypuszczaniu z peronu nieznalazłoby się już w Europie Zachodniej i Środkowej nigdzie.

Zdarza się, że tą kolejką zmuszeni są jechać także i etranżerzy do Jabłonny, do Wawra, do Miłosny, francuscy oficerowie, Amerykanki z Czerwonego krzyża, Czesi, Szwajcarzy, Niemcy. Co oni sobie pomyślą, widząc te „indolence polonaise“, takie „polnische Wirtschaft“ to wprost zgroza pomyśleć! Niema na całej kuli ziemskiej publiczności pasażerskiej, którahy znosiła cierpliwie podobne katorgi i katusze!

Nawet w Meksyku, lub w Albanji podobną stacyjkę zdemolowanoby w dwie godziny, wysadzając zrujnowaną budę pyroksyliną w powietrze. Ze strony zarządu tej kolejki jest to bezkarne, zuchwałe uprawianie masowego sadyzmu, to są Nerońskie orgje prześladowań i męczarń, którym wreszcie należałoby położyć koniec...

Zdjęcie kinematograficzne ze sceny przedstawiającej: „odejście kolejki podjazdowej w dzień świąteczny ze stacji Saint Most w Warszawie", dostarczyłoby propagandzie antypolskiej najmocniejszego argumentu...

Okazałoby bowiem, że stacyjka ta nie jest stanowczo „przedmurzem cywilizacji", że ani zarząd kolejki, ani administracja, ani służba, ani też pasażerowie nie są „Francuzami Północy" i że o „kulturze zachodniej" tu, w samej stolicy europejskiego państwa, niema ani mowy.

CZŁOWIEK JEST JAK TEN... IKAR.

Z Poznania do Warszawy.

Stolica wzywa do powrotu. Poznańska wystawa już uroczyście otwarta, wszystko się oglądało, co było godne widzenia, toast wygłosiło, pismo możliwie godnie reprezentowało, pora zdawać relację, pora wracać do stolicy.

Pociąg pośpieszny z Poznania do Warszawy idzie świetnie, ale idzie dziesięć godzin. Wobec tego trzeba sobie jakoś inaczej poradzić, byle tylko stawić się w redakcji w zadysponowanym terminie. Trzeba raz w życiu zaimponować punktualnością i dyscypliną. Pogoda cudowna. W żyłach przelewa się moc wina, likierów, tabromików, hartwigów: człowiek poprostu czuje się wpół Kantorowiczem, wpół Kasprowiczem. W takich momentach najodporniejsza natura podlega łatwo pokusom szatańskim...

— Przejedzie się pan jak w powozie, wszelkie niebezpieczeństwo wykluczone. Siedzenia jak w coupé pierwszej klasy. Smokingi dozwolone. Szyby w kabinie są, miejsca dosyć na czterech gentlemanów. Od biedy można zagrać w bridgea. Byle tylko nie wychylać się i podczas jazdy nie wychodzić na spacer np. na skrzydło. Miejsce na kuferki jest, nie można brać tylko kasy ogniotrwałej ze sobą lub pianina, na wet z głuchą klawiaturą. Kuferek i koszyk owszem. Nadto nie należy brać ze sobą gramofonu bo to irytuje i drażni pilota. Skrzypce lub flet owszem. Butelki wyrzucać godzi się opróżnione tylko do połowy, aby i robactwu pełzającemu po skorupie ziemskiej dostało się i spadło z chmur czasem coś smakowitego.

Wyjeżdzamy o szóstej rano. Będziemy się posuwali naprzód w tempie 180 klm. na godzinę, miejscami szybciej, miejscami wolniej, w każdym razie o 40 proc. rażniej od najśpieszniejszych rapidów amerykańskich. Pierwsze śniadanie możemy zjeść albo w Bagateli, jeżeli już będzie otwarta, albo w piekle na dnie, jeżeli się w maszynie cokolwiek obluźni...

All richt. Zrobione? Zrobione. Shakehands bardzo żylastej ręki.

— Jeszcze jedno. Normalni ludzie i gentlemani płacą za ticket 10,000 marek polskich

z Warszawy do Poznania, z Poznania do Gdańska. z Gdańska do Warszawy i z Poznania do Warszawy; nieśmiertelnych, albo z gwarancją nieśmiertelności bierze się gratis, kalkulując, że w razie skręcenia karku reklama dla przedsiębiorstwa jest wielka.

...All right. Bardzo słusznie. Oszczędny człowiek woli darmochę w powietrzu sześćset metrów nad powierzchnią morza, niż płatną jazdę po staromodnych szynach w średniowiecznych wagonach. Zrobione... Jedziemy.

Ponieważ wyjeżdzamy wczesnym rankiem, przeto noc ta może być ostatnią. Przypomina się Horacjuszowskie „carpe diem". Dodaje się: „noctem" i w miłem towarzystwie aranżuje się w Poznaniu paryskie przedwojenne revue des grands ducs.. Trzeba się może zaasekurować na życie, ale gdzie teraz o północy szukać doktora i ajencji... Prawdopodobnieby się zdziwili, a może nawet odmówili... Wobec tego szybko trzeba sporządzać testament i zapisać wszystko na złość spadkobiercom na cele narodowe. Ale skąd teraz w „Apollu" wziąć notarjusza, dwie świece i kawałek choćby czystestego papieru? Wobec tego trzeba się ograniczyć na rozpisaniu widokówek z „ansichtami". I to się robi. Przy sześćdziesiątej pocztówce zziajany kelner niezgrabnie rozlewa na wszystko pół bu-

telki lepkiego gliceryniastego „Orange". Niech go czarci biorą! Pech chciał!...

Świt na niebie gwiazdy gasi... Trzeba nieco pomieszkać, popakować się i „skupić w sobie". Ulice poznańskie pełne spóźnionych gości wystawowych, zalanych doszczętnie radością życia i dumnych ze swego handlu, przemysłu i pomysłu z tym Targiem wszechpolskim. O spaniu snem sprawiedliwych w tych warunkach niema mowy. Trzeba się obmyć z nieprawości alkoholowych, przeczesać, ogarnąć, wziąć na siebie absolutnie coś sportowego, coś rekordowego, coś matchowego. Zresztą auto na dole już gwizdało, zatrzeszczało, zachuczało. Przyjechali po nas z lotniska, z Ławicy. Uciekać przez kuchnię tylnemi schodami nie wypada. Courage! Miny już dobre, doskonale, pogoda koncertowa. Jedziemy, pędzimy, gnamy, dojeżdżamy; stop, stajemy, wysiadamy.

Na lotnisku już ruch. Przyjechał „Newport" z Bydgoszczy. Gromadka żołnierzy. Oficerowie lotnicy zaciekawieni, co to za cywile aby takie zuchwałe. Redaktory. „Galicjaki z Kongresówy". Kilka maszyn wyciągniętych, kilka wysuwają z hangarów. Życie! życie! nowe życie. Przed nami on... nasz... olbrzym, mały olbrzym, zgrabny, sympatyczny, żółty, cały z aluminium, w kadłubie formalny wagon, pudło od karety. Dzie-

ciska do tego brać, staruszki, emerytów, pary poślubne, mamki, ministrów, tabetyków, takie to wygodne, solidne, pewne, niestraszne...

Na zielonej łące stoi przed nami „Kordjan". On nas powiezie. Lotnik wszechświatowej renomy, latał w Ameryce, w Anglji, we Francji, był w armji Hallera; model amerykańskiego cowboya. Oczy sępa. Jeździ po Europie w obłokach, jak my tramwajem w Aleje, dziś tu, jutro tam. Teraz jest entreprenerem Aero-Targu. Wynajął cztery pasażerskie płatowce i chce nas, łażących ledwie po ziemi, ospałych, gnuśnych, zimnokrwistych oswoić i przyzwyczaić do lokomocji powietrznej. Kiedy mówi o tem, skry mu się z oczu sypią, palce zaciskają kurczowo, głos chrypliwie dobywa z krtani. Przeszkód piętrzą mu całe góry. Biurokracja! biurokracja! Polityka! polityka! Że Wielkopolska go ze wszystkich sił proteguje i popiera, więc Warszawa czyni objekcje, „czepia" się formalności. Tymczasem państwo tak szeroko zatoczone i leżące między Rosją a Niemcami potrzebuje „kultury lotniczej"....

Godzina 7 minut 15. Silnik dwustukonny pracuje gwałtownie. Śmiga furcze już ogłuszająco. Żołnierze kręcą się koło aparatu, pomagają, podziwiają, gładzą skrzydła miłośnie... Pada komenda: Panowie wsiadają! Kordjan kazał.

W maszynie aż coś diabolicznie dyszy i stęka, tak się to ptaszysko rwie do lotu. Wsiadamy w mig wszyscy czterej bez uncji, bez szczypty jakiejś tremy. Papierosy i pipy w zębach, dowcipy padają. Kordjan wsiada na siodło, obok niego pilot. Drzwiczki od kabiny trzeba zatrzasnąć, bo może ktoś jeszcze wypaść i wbić się na jaką wieżę... Doskonale, Kordjan nakłada groźną maskę, pilot rozkłada przed sobą mapę. Żołnierze lotniska patrzą na nas z admiracją i powagą. Jeden tylko, sceptyk zda się, puścił jakiegoś witza o cywilach, bo nagle roześmiały się fruwające chłopaczęta zdrowo, głośno, słusznie.

Gotów? Gotów! Coś zakręcili, coś zaśrubowali, coś opuścili, coś syknęło... Nagle drgnięcie. In nomine Patris et Filii... Ruszamy. Toczymy się cichuteńko, gładko po „skorupie zimnej i plugawej", poczem leciuteńko, delikatnie, niepostrzeżenie wznosimy się, wznosimy i jeszcze wznosimy. Na wskazówkach cyferblatu 600 metrów nad ziemią! All right!

Niewysłowione uczucie szczęścia, radości, dumy, poczem szacunku, czci i wdzięczności dla geniuszu ludzkiego rozpiera duszę. Podróż się rozpoczyna...

*
* *

Może się to wydać paradoksem, ale jako „rutynowany“ pasażer napowietrzny, twierdzę stanowczo, że jazda płatowcem przedstawia mniejsze niebezpieczeństwo i mniejsze ryzyko od jazdy jego protoplastą czy rodzicem, t. j. samochodem. Szczególnie w drogiej, ale przeważnie prymitywnie uszosowanej ojczyźnie. Na tej drodze niemasz ni zakrętasów, ni załamań, ni wybojów łokciowych, ni dziur w moście. Nie stanie ci w poprzek ni krowa rozkraczona, ni fura naładowana betami i bachorkami na którą trąbisz i trąbisz po próżnicy, nie naprzyksza ci się zygzakujący a „ambitny“ rowerzysta, z za węgła muru czy z za płotu przydrożnego nie padają na szybę frontową kamyczki, a gdzieś na gościńcach dalszych poczciwe kmiotki nie nasypały ci równiutko w linijce poprzecznej drobniusieńkiego szkła od potłuczonych specjalnie butelek. Jedzie się bezpiecznie, równo, spokojnie, miarowo bez drgawek, ni falowań, ni podrywów. Oczywiście trzeba się przedtem umówić z pilotami, że nie będziemy wyczyniali ani lejów, ani wiraży, ani spiral, ani loping the lop, ani „korkociągów“, ani salto-mortale jadąc do góry nogami za pierwszym debiutem, ale że dopiero przy wzlocie drugim i z namówionymi przez nas znajomymi lub wrogami politycznymi mogą sobie

pozwolić na kunsztyki á la Pegoud lub Haber-Włyński. Opuszcza się szyby z miki w kabinie i z całą swobodą patrzy w dół, nie wychylając oczywiście zbytnio głowy, gdyż o ile osadzona jest zbyt lekko na karku, pęd powietrza rozprutego może ją łatwo oderwać i zrzucić gdzieś do dymiącego komina. Widać wszystko dobrze, ale uogólnione, w konturach, syntetyczne i zdegradowane do wymiarów dziecinnych zabawek. Pola pocięte we wszystkich odmianach i niuansach zieloności i żółtości, drogi i tory kolejowe to nitki proste i napięte, rzeki to wstążki brudnego koloru, chaotycznie i kapryśnie rzucone, kręcące się i wijące. Co kilka minut porozkładane pudełka zabawek małego Miecia, czy Wicuchny: placyk-rynek, w środku kościołek fara uliczuchny, domeczki, jakaś fabryczuchna, komineczek, wiatraczyna. Nazywa się to poważnie: Września, Kostrzyn, Konin, Koło, ba nawet Kutno, gdzie właśnie jest przewspaniały jarmark i drobniusieńkie plameczki ruszają się powoluteńku: Jakaś plamka rusza się widocznie szybciej. To pewnie zerwała się, pozostawiona lekkomyślnie, para świeżo kupionych koni Maćka Sandały i pędzi z wozem nawprost siebie na łeb na szyję, szerząc panikę, a nieprzeczuwający właśnie Sandała zapija u Mordki Raciążkiera czwartą gorzką „z kropelkami". Tu i owdzie na torze

kolejowym widać posuwającą się niemrawo i ślimaczo jakąś rozprostowaną, maleńką glistę, czy dżdżownicę... To najpośpieszniejszy, pociąg kurjerski wiezie jak może ludzi XX wieku, zacofańców, wsteczników, endeków, pepeesów, komunistów. Naprawdę postępowi ludzie istotnie nietylko idący, ale i jadący z prądem czasu, jeżdżą już, będą jeździć, muszą jeździć wyłącznie pod obłokami!. „Ja jadę górą! ja jadę górą a ty doliną... ja zakwitnę różą, ja zakwitnę różą a ty tarniną". Times is money. Nie wyobrażam sobie, żeby nowoczesna dyplomacja, plutokracja, piastokracja, ażeby ludzie inicjatywy, organizacji, „rozbudowy", aby fabrykanci, kupcy, komiwojażerowie, ambasadorowie, posłowie, delegaci, dziennikarze, leaderzy stronnictw, prezesowie klubów, dyrektorzy banków, prezydenci republik, trustów, koncernów, koncertanci, śpiewacy, primadonny, primavery i wogóle prima sorta ludzkości, wyższe dziesięć tysięcy, śmietanka czy maślanka społeczeństwa, mogła za lat dziesięć, mając już do dyspozycji lokomocję górną i chmurną, ryzykować jeszcze wleczenie się, telepanie i gniecenie w dusznych, starych, spłowiałych i wytyranych wagonach przyziemnych z wieku XIX. Stulecie pary już minęło i więcej nie powróci . Dobre to było dla praszczurów i reaków, ale nie dla nas ludzi tego... ludzi jutra, ludzi przyszłości.

Nastaje wiek benzyny i benzolu, no i przez protekcję jeszcze elektryczności. O parze, parowaniu, parostatkach, parowozach, parzeniach niema co mówić, nawet nie wypada...

W kabinie jedzie nas czterech. Trzech zachowuje się stylowo, correct. Stoją a raczej siedzą na wysokości zadania. Stosowni ludzie na stosownych miejscach. Czwarty znalazł się, a raczej znajduje się przez całą podróż nie w kropce. To, co robi i jak reaguje na rozkosz podobłocznej jazdy jest absolunty schoking. Najpierw uśmiecha się niewyraźnie i zawsze nie w porę, poczem blednie, żółknie, zielenieje, wreszcie wpada na pomysł, żeby w nas wmówić, że jest delegatem pokojowym do Rygi i tłumaczy nam, że cała jazda jest wogóle nie do Warszawy, lecz do Rygi i grozi nam wreszcie, że i my także lada chwila znajdziemy się z nim w Rydze. Wobec tak przewrotnego i kłamliwego postawienia kwestji wyciągamy flakonik z modnym monastikiem i raz dokoła wypijamy haustem całą zawartość, poczem zapalamy ostentacyjnie grube, relatywnie wonne hawanny, starając się tylko nie patrzeć pod żadnym pozorem w stronę przekornego i upartego Ryżanina. Pod nami już nie rzeka Warta, lecz skromna, cieniuteńka rzeczułka Pisia. Przelatujemy właśnie nad Łowiczem. Maszyna furczy rechocze miarowo, wzorowo, cu-

downie. Ponieważ mamy w Łowiczu wielu znajomych, więc mimowoli wychylamy się co nieco czy też nas tam nie zobaczą i nie poznają. Możeby tak rzucić mecenasowi na balkon z góry pustą butelkę, wsadziwszy w nią list z pozdrowieniem niebiańskiem? Nie udaje się. Ni stąd ni zowąd napatoczyły się pierzaste, kłębiste, białe chmureczki i pędzą lekkomyślnie wprost na nas. Na ten widok nasz Kordjan, boski chmurowładca, chce nas uraczyć widocznie nową emocją, nowym spektaklem, nową sensacją nad sensacjami, gdyż oto widzimy przez okienko jak coś tam przykręcił, odsunął, opuścił i nagle dość raptownie szybko podnosimy się w górę, znów bez jednej szczypty nieprzyjemnego uczucia. Wskazówka na cyferblacie skacze, posuwa się, wreszcie staje. Jesteśmy blisko tysiąca metrów nad padołem płaczu i zgrzytania zębów. Pod nami chmury, biała zasłona, Łowicza nie widać ani śladu już, mecenasowi butelki nie rzucimy, bo prawdopodobnieby nie trafiła na sam balkon, tylko spadła obok w altanę aptekarza lub na kapelusz pani Mazurkiewiczowej, która właśnie wychodzi z domu z koszem do rzeźnika... po mięso...

Godzina 9 minut 26 sekund 41 jesteśmy nad Warszawą. Tu już nie zabawka dziecinna, ale olbrzymie kamienne mrowisko, szeroko rozpłaszczone, nie mające atoli ani części tych zie-

lonych plamek ogrodów, jakie pstrzyły się wszędzie w dole, gdyśmy krążyli nad Poznaniem. Teraz robimy nad Warszawą lekki korkociąg, poczem następuje moment bolesny, kiedy pilot na kilka sekund zamyka silnik. Angielski Sidley Puma na chwileczkę zamilkł. Opuszczamy się szybko na dół. Wszyscy trzej patrzymy na siebie z nieopisanym smutkiem Już się kończy, już Mokotowskie pole! Teraz dopiero, gdy Sidley Puma zamilkł, słychać jakieś potworne chrapanie w kabinie... To czwarty pasażer tak spędza czas. Ryżanin połowę drogi obrzydzał życie sobie i nam cokolwiek, a połowę przemęczony spał. Prawdę mówiąc praktyczniej byłoby tak spędzić czas na parterze, ale poco wzbijać się w obłoki, żeby przez godzinę forsownie i wybuchowo przygotowywać się do godzinnej drzemki, to nie logicznie, to wyrzucony pieniądz, to luksus.

Już zbliżamy się na kilka pięter do Tetydy matki ziemi. Już lecą naprzeciw nas żołnierze, podjeżdża po murawie samochód, widać przepyszne hangary. W Warszawie mogliśmy być pół godziny temu, ale nasz Kordjan, nasz „un as" na moje usilne prośby nie jechał prosto w „liftline", ale ponad miasteczkami i okrążył lejowato Warszawę. Niech mu Bóg da zdrowie, pasażerów, flotę, rekordy! Planowanie odbywa się całkowicie tak bez bólu jak odklejanie przy starcie

(decollage). Jakieś zjeżdżanie po równi pochyłej na miękkich dywanach, obsuwanie się. Wreszcie leciutenienieczka drgawka. Maszyna toczy się już po murawie. Smutek, nieograniczony smutek, że tak krótko. Przysięgi i śluby, że w tym tygodniu jedziemy do Gdańska, Krakowa, Lwowa, poczem Pragi, Wenecji, Kijowa, poczem Singapore... Tanger... Wyspa Świętej Heleny...

Niezrównane, niewysłowione, niepowiedziane niebywałe, rozkoszne, bezpieczne, miłe. Pasja tylko bierze, że takie półtory godziny najmaksymalniejszego szczęścia może przeżyć każdy, ale to każdy mój spółcześnik, bliźni, konkurent, eunuch, czychający spadkobierca, wróg polityczny, każdy kto tylko zna telefon 191.55 jednego z agentów tego przedsięwzięcia... i drogę do lotniska Mokotowskiego. Tylko ta jedna plamka na tem słońcu!

W każdym razie grubo nieprzyjemnie pomyśleć, że można było przeżyć życie do końca.. pełzając tylko po ziemi, nigdy nie wzbiwszy się nad poziomy, gdzie wzrok nasz nie sięga... zwłaszcza... gdy się dwadzieścia lat temu napisało taką... nowelę jedną... bajkę... „O Księżniczce i Karle"..

Jutro do Gdańska?

All right. Merci... Niech żyje, nowe życie!

LISTY Z JIDDISZ-RIVIERY.

Sierpień r. 1922.

I.

Długie lata trwał spór od jakiego źródłosłowu pochodzi właściwie źródłowo słowo: Sopot, ale ten rok dopiero zdecydował definitywnie.

Pewna grupa lingwistów twierdziła, że od słowa sapka, t. j, katar, a więc miejscowość pełna zaspanych, astmatycznych, zakatarzonych.

Inni upierali się przy tem, że Sopot jest to rzeczka, potok, wyraz spotykany już u Kochanowskiego. Jeszcze inni zapewniali, że od roślinki sopotki (soppa merestris), która obecnie rzadziej, ale w XVII w. pono obficie zarastała duny i piachy nadbrzeżne. Jeszcze inni upierali się, że od sapatki, t. j. gatunku flądry (po kaszubsku stonewki), wyłowionego i wyjedzonego swego czasu przez kwiożerczych ale i rybożernych Krzyżaków.

Znany uczony petersburski, prof. Imperialskij w broszurze swojej, dowodzącej, że Kaszubi są właściwie Wielkorusami, starał się udowodnić, że Sopot jest to czysto rosyjskie słowo pokrewne sapożnik, sapagi etc. Z czasem pojawiły się również bardziej orginalne hipotezy, dowodzące np., że Sopot alias Soboty pochodzą od tego, że patrycjat gdański zjeżdżał tu w soboty: to znowu, że od słowa sabotowanie, gdyż jakiś czas ze strony polskiej uprawiano sabotototowanie tych kąpieli morskiej. Ktoś wystąpił nawet z hipotezą, że „Copoty", to skrót trzech słów: co po tem komu? to jest zapytanie, jakie ongi zadawali sobie turyści, nie używający kąpieli morskich. Nie mogąc dojść do ładu z tak różnorodną interpretacją pochodzenia tego słowa, sprowadzono nawet z Warszawy samego prof. Ant. Langego, najznakomitszego sanskrytologa z „Nowego Światu", aby raz na zawsze tę kwestję rozstrzygnął. Ale i definitywna decyzja tego poligloty nie rozstrzygnęła jeszcze sporu i nie uzgodniła poglądów.

Rozstrzygnął dobiero sezon obecny.

Sobot pochodzi od słowa szabes; Szabesy, Szabety, Szoboty, Soboty, Sopot. Hipoteza polska względnie endecka, jakoby ongi obchodzono tu w święta pogańskie lechickie obrzędy Sobótek i palono ognie na górach, otaczających

amfiteatralnie zatokę, upadła sromotnie, a zwyciężyła na całej linji teza szabasowa.

Przekonać się o tem można było w tym roku w Sopocie zaraz na pierwszy rzut oka. Takiego nadmiaru, takiej nadwyżki, takiej abundancji, takiej profuzji, takiej akumulacji, takiej agregacji szabasowego żywiołu nie możnaby już znaleźć na innym punkcie globu. To nie 99 procent, ale 130, 199 procent, miljon, biljon procent!

Dzień w dzień przepełnione pociągi wysypywały całe roje, całe mrowiska, istne ławice starozakonne. Niema miasta, miasteczka, osady, osiedla w Polsce, na Litwie, na Kresach, któreby w tym roku nie wysłało tu kilka reprezentantów rodzin z naszej mniejszości narodowej. Jakieś hasła, jakieś wici rozesłano po całym izraelskim narodzie, aby tu w tym roku stawili się wszyscy, wszyscy, wielcy i mali, bogacze i potentaty, nababy, krezusy, midasy z całej polskiej diaspory. Odbyła się jakaś formalna, uplanowana, masowa wędrówka nie narodów, ale narodu wybranego nad Bałtyk. Coś to ma znaczyć, coś w tem tkwi, jakaś w tem demonstracja, jakiś „wink von Oben“, jakiś zakulisowo ukartowany manewr na większą skalę. To nie jest tylko olbrzymi zlot i zjazd kuracjuszów; w tem tkwi jakaś świadoma, świetnie

przeprowadzona akcja polityczna. Jaka? Jehova Adonaj raczy wiedzieć.

Gdy zbłąkany Lechita, przemykający się wśród tych czered, staje na pomoście sopockim i rozejrzy się na prawo i lewo po „opalających sobie“ w piasku i włażących w wodę tegorocznych gościach, w prost zdumienie go ogarnia, że to nie Czerwone Morze, a jeszcze Bałtyk, to niebieskawo-zielony, to stalowo-szary. Jak Bałtyk Bałtykiem takiej masy Izraela nie zmywały z brudów wielowiekowych jego czyste, chłonne fale. To też raz po raz, omal co drugi, trzeci dzień furja go porywała wściekła i pod plażę napływały całe pokłady czarnego gęstwia szlamowego z algów i wodorostów.

Znam bałtycką bajorę od kilkunastu lat, ale nie przypominam sobie nigdy tak częstotliwie podeszczowo zabrudzonej i dziwnemi woniami cuchnącej wody, jak w tym roku w Sopocie, i to na tej głównie przestrzeni, gdzie prała się w tym roku pierwsza generacja naszej wyzwolonej mniejszości.

Już w Gletkau (Jelitkowie) już pod Hardoskalem (Stolzenfelsem), nie mówiąc już o Orłowie i Brzeźni morze (jak to wszyscy stwierdzają zgodnie) było mniej zirytowane i mniej czarnym szlamem z gniewu rzygające. W samych Szabasach wściekało się często bez opa-

miętania na widok takich kroci rozebranych osobników, które musiało odczyszczać z dziedzicznych wielowiekowych narostów i naleciałości.

Jak mnie objaśnił jeden z sympatycznych, a licznie tu reprezentowanych kolegów pióra nie aryjskiej prozapji, szczególna pasja porywała Bałtyk, gdy weń właziła gremjalnie, choć powoli liczna rodzina Kałuszynerów z Pabianic, kąpiących się pospołu z rodziną Raciążkerów z Kalisza. „Żeby, to odmyć jakotako, trzebaby chyba fal Oceanu Atlantyckiego“! A jednak dzielny Bałtyk dawał sobie i z tym radę i mogliśmy na własne oczy obserwować, jak piękna panna Perła Kałuszyner, codzień czystsza, wychodziła jak Venus Kalipiegowata z piany morskiej, by potem wraz z szykownym Morycem Raciążkerem przekomarzać się w piasku.

— Pan już widział Meduzę, panie Morycku?

— Dlaczego ja nie miałem widzieć Meduzy, skoro ja patrzę na panią?

— Ale taką galaretną?

— Co ja mam widzieć galaretną, jak ją mogę oglądnąć sobie rozebraną...

Nie jeno wielkie miasta polskie, ale właśnie najdalsza, najciemniejsza prowincja wysypywała na Rivierę bałtycką swoją całą izral-elitę i to to właśnie czarnosecieństwo nadawało ton

i lokalną barwę bieżącemu sezonowi. Było to jakieś masowe rendez-vous wszystkich familji lichwiarzy, szyberów, paserów, waluciarzy, fałszerzy paszportów, weksli, tysiącmarkówek, wszystkich paskarzy, hurtowników sacharyny, szopenfeldziarzy, dezerterów, przemytników, handlarzy żywym towarem, tajnych gorzelników, arendarzy, propinatorów, defraudantów, właścicieli nocnych szulerni. Takiego przeglądu kryminalnych typów, zwyrodniałych czaszek, Lombrosowskich pracht-exemplarów „uomo delinquente", pysków i frontów ze śladami wszystkich zbrodni i bezeceństw, jaki można było zafundować sobie o pewnych godzinach na t. zw. sztegu sopockim, nie spotkałbyś już nigdzie, ni w New-Yorku w Broadway, ni w Whitechapell. Tu spłynęły w tym roku szumowiny z całej Wschodniej Europy, cały „Abfalss-Product der Menschheit", jakby w komplecie.

Możnaby ręczyć, że gdyby, podczas popołudniowego koncertu w momencie, gdy muzyka rżnie w niebogłosy: „Einzug der Götter in Wallhalla", dużym kordonem policji, wojska i karabinów maszynowych, zamknąć nagle połowę sztegu i rozpocząć rewizję i sprawdzanie dokumentów, to ze stu „Kurgastów" rzuciłoby się bez namysłu w morze, z 500 okazałoby się jako bez sądowych formalności kfalifikujących się na

dożywotnie galery, z 1.000 na 25 lat ciężkiego więzienia, a zaledwie 300 możnaby puścić z czystem sumieniem z powrotem na wolność, oczywiście tylko z braku namacalnych dowodów.

Niestety „razzie“ takie urządza tylko od czasu do czasu policja gdańska na Langgasse przy Bankach, odsyłając potem do Tczewa, do Polski, czasami po 200 sztuk „łapserdakies“, podczas gdy „luftmenschom“ sopockim dają jeszcze spokój. To też ten szlam ludzkości, ta „nowa elita'' Wschodniej Europy czuła się tu doskonale, jak w Ziemi Obiecanej. Na znak, że są tu u siebie w domu i że Sopot już zaanektowali dla siebie i objęli w wieczyste posiadanie, wszystkie szajgece, chodziły tu stale bez nakrycia łbów (english fashion).

— Niech szie i włosy wykurują na morskiem powietrzu... Kombinował sobie tak nawet stary Froim Kapłun, wekslarz z Rzeszowa, który przez 50 lat nie zdejmował z głowy pięknego półcylindra, a w Sopocie „dla kuracji'' chodzi jednak z rozwianą grzywą, naśladując wielkomiejskie Absalony i jungermenszyki z czarnej giełdy warszawskiej. Gołogłownie więc mężczyzni a ich małżonki i córki bardzo często można było widzieć znów z narzuconemi krakowskiemi chłopskiemi chustami (sic!). Jakbyś kawał Bronowic lub Krzeszowic przerzucił nad

Bałtyk. Szczególnie te z Galilei i Lodomerji sziksy, shimmy szykownie wieczorami tańczące. Można sobie imaginować jak to czasami harmonizowało z typem, z nosem, z uwłosieniem i z figurą.

Wyjątkowo piękne i jedwabne, ofrendzlowane czarne w czerwone kwiaty chustki miały dwie dorodne dziewoje, panny Jagienka i Cyra Zucker z Bochni czy z Wieliczki. Rozkosz była patrzeć, jak podmywszy biusty i szyje i ręce, mocno się przedekoltowawszy z dołu i z góry i narzuciwszy na plecy Czepcowej chusty, niby te Carmeny hiszpańskie mantille, gronem złotej młodzieży z Nalewek otoczone, srebrzystym śmiechem raz po raz wybuchające, maszerowały po sztegu, zachwyt dokoła wywołując niekłamany.

„Fajn szikses" i „a masełtopf!" — był to zasłużony okrzyk, jaki towarzyszył z ław siedzących obserwantów flanowaniu sztegowemu tych prawdziwych first class nowoczesnych Krakowianek. Podczas gdy panny i panie „kresowe" z Grodna, z Brześcia nosiły się i ubierały raczej kosmopolitycznie, przeważnie w kanarkowych lub szpinakowych sweatrach (szczególnie efektowny mecenasowej Tatjany Pomerancew z Pińska, czy z Mińska), to nasze Laszki, nawdziewaniem tych jaskrawych chust krakowskich

wnosiły w wytworną societę tegorocznego sezonu sopockiego barwy i tony swojskie i rodzime... naskie...

Że z całej Polski jak szeroka, długa i zadłużona zjechało tu obywatelstwo, to mógł się każdy przekonać po miłym, szwargotliwym rozgwarze na plaży, na promenadach, w restauracjach, w wagonach, w kabaretach, jak również i po gazetach jakie wszystko to tałatajstwo przeważnie kupowało w kioskach, trzymało w łapach i którymi zaśmiecało przyrodę i krzaki. Język niemiecki dość rzadko można było słyszeć i to tylko u autochtonów, przeważnie zaś żargon litwacko-sowiecki (bardzo zbliżony do języka rosyjskiego), dalej narzecze stradomsko-nalewkowskie, nieco podobne do niektórych dialektów niemieckich, wreszcie jakąś doskonałą polszczyznę mocno książkową, gazetową, sztucznie poprawną, często wyszukaną i wybredną w słowach a błędną jeno w składni i koszlawą gramatycznie. Polszczyznę tego nowoczesnego sopockiego „towarzystwa“ kąpielowego określiłbym jako polszczyznę „poranną“ z tego względu, że w odnóżach górnych, czy rękach osobników, które tą ultrapolszczyzną się posługiwały, często gęsto mogłem zaobserwować piastowany nabożnie lub szeroko i demonstracyjnie rozłożony „Kurjer Poranny“. Tate i mamele jeszcze so-

bie wertują w koszach na plaży „Haint", „Moment", „Białostockier-Blatt", „Jidisches Folk" i t. p., ale młodsza generacja, to ona nie rozstaje się z „Porannym", nawet gdy wchodzi w odmęty morskie lub jedzie jakimś okrętem śmiało na daleki Hel.

Często mogłeś widzieć jak młody Pinkus (Salo), rozciągnięty „z brzuchem w gorący piasek", studjuje „Rul" lub „Nakanunie", ale już jego siostra, mis Fajga (najlepsza foxtroterka z „Kakadu"), to ona bierze w palce tylko tego „Porannego". Często mogłeś słyszeć jak stary Glancpomader z Pabjanic, trochę bardzo nagi, w koszu siedząc, wiankiem rozgolonej rodziny Glancpomaderów otoczony, czyta na głos, zbożnie i powoli, wstępny tasiemiec z „E...berga Porannego".

Dawniej to tak czytywał stary Mohort pacholętom „Wieczory pod lipą", a teraz „Porannego" bachorkom czytał patrjarcha Glancpomaderów. Odkąd cały Izrael sopocki dowiedział się, że właściciel restauracyjki koszernej w Sopocie nosi także nazwisko E...berg, kredyt moralny „Kurjera" nad Bałtykiem podniósł się raptownie jak dolar. „Poranny" stał się jakimś Szulchan-Aruchem do codziennego użytku tych elementów. Jeżeli po kąpieli poniektóry luftmensch czy jego rodzina nie „poran-

nemi“ papierowemi prześcieradłami całe korpusy wycierała na sucho, to przynajmniej pewne partje wykąpanego cielska. Z rozmów tych nowobogackich szyberów i waluciarzy dolatywały cię zawsze echa „mentalności“ i światopoglądu politycznego lejbgwardji marszałkowskiej, ba nawet ich styl i żargon publicystyczny:

— Czytałeś panie Jakób, jak dziś świetnie nasolił tym nacjonal-demagogom?

— Co ja miałem czytać, kiedy nie posiadałem pory wolnej do czytania.

— Co pan zrobiłeś z wolną porą panie Jakób?

— Ja zrobiłem głupstwo, bo ja przerżnąłem w kasynie zehntausend bares. To mnie i opuściła ochota nawet na „Porannego“.

Nawet na „Porannego...“

Taką to popularnością cieszył się tego roku nad Bałtykiem wśród tych szumowin z całej Polski organ marszałkowski...

II.

Semiccy uchodźcy i emigranci z Rosji, którzy w okrągłej liczbie 29,000 osiedli tutaj we wszystkich miejscowościach nadbrzeżnych (w samej Oliwie 9.000), reprezentują olbrzymie kapi-

tały. Jest to pecunia quae olet krwią ofiar rewolucji, są to, brylanty i perły, może niedawno jeszcze zdzierane z martwych palców, ale w każdym razie kapitały w miljardy idące, które już pracują, już się mnożą, już weszły w kontakt z żydostwem gdańskiem i polskiem. Gdańska enklawa została upatrzona i przeznaczona przez politycznych macherów międzynarodowego mocarstwa na jedną z głównych bram wypadkowych Ostjudów na szeroki świat.

Tu ma się wytworzyć bliższy kontakt i symbioza ekonomiczna najpierw między członkami jednej rasy, mówiącymi odmiennemi językami: rosyjskim, polskim i niemieckim, tu musi zmężnieć i rozrosnąć się poczucie wspólnej plemiennej solidarności, łamiącej wszelkie zapory i graniczne słupy sąsiadujących państwowości. Tu dopiero na tym małym skrawku ziemi nadmorskiej wszyscy „poczują sie w swem jestestwie" narodowem, jako zwycięski „Herrenvolk" profitujacy z zaciekłych waśni i nienawiści dwóch ras aryjskich. Tu dopiero zwycięskie już żydowstwo pruskie i litwacko-rosyjskie poda obie dłonie jeszcze niby nieśmiałemu i nie uświadomionemu o swej potędze 2 i pół miljonowemu żydowstwu polskiemu. Freistadt Gdański będzie tą centralą, energję rasową akumulującą, tą dynamomaszyną elektryzującą ospale niby jeszcze, gnuśne, zacofane antyczne żydowstwo polskie.

Że taki plan strategiczny istnieje, że temu skrawkowi brzegu morskiego wielką rolę w przyszłem opanowaniu przez Semitów i upartej „reakcyjnej" Polski przeznaczono, o tem można się było przekonać właśnie także i w tym sezonie kąpielowym w Sopocie. Nie tylko bowiem na tej jednej uczcie sjonistów zasiedli dla wspólnych obrad menerzy żydowscy z Prus, z Sowdepji, z Gdańska i z Polski. Stykali się tu współwyznawcy na każdym kroku. Reprezentanci triumfującej i rządzącej w Rosji satrapji semickiej dodawali otuchy i kurażu naszym żydkom z Będzina, z Kałusza, z Łodzi, „Es kommt der Tag"! I na was przyjdzie czas, jak tak dalej pójdzie w Polsce na lewo na lewo i w wdół.

Iwan Frojmowicz Kagan, śmiało paradający po Seestrasse sopockiej z „tarczą Dawida" w klapie marynarki, był dla Kazimierza Kahana widomym symbolem nie tylko bezkarności ale i zwycięstwa moskiewskiego komunizmu. Brylanty w uszach i na wszystkich palcach Nadieżdy Liwszyc dawały dużo do myślenia nieco parafialnej Zuzi Lipschütz z Częstochowy. Kiedy pod willę zajeżdżał na wspaniałym Benzu taki lew sezonu, wytworny foxtrotter, prima sorta blady Niko Berdyczewskij, to znów też nabierał rezonu i pewności siebie i nasz Cześ Poznański, czy Stefusz Lubliner. Tu w Sopocie po

raz pierwszy czy to na lekcjach tańca, czy w kabinie skromna pani Kugel z Tarnowa poznawała rozrzuconą światową pietiersburską madame Kugel. Tej na imię Rózia, tamtej Tamara, ta Polka, tamta Rosjanka, ale po godzinie już były w zażyłej przyjaźni, już szwargotały po cichu, a pani Rózia słuchała z wypiekami na buzi, jak to „my zwyciężyliśmy w Rosji", jak to w Moskwie teraz pięknie męczą w czrezwyczajkach takich czarnosotienskich, eserowatych antysemitników... W kawiarni u Lorentza przy jednym stoliku siadał nasz Moryc Majer i czytał sobie „Vossische", po chwili przypadkowo przysiadał się Meyer aus Bromberg, a za kwadrans już był trzeci Meier, emigrant z Mińska, a po godzinie już ci trzej Meyerzy gwarzyli ze sobą, jakby się znali od dziecka, a to o Rathenau, o Schanzerze, o Sobelsohnie i odnajdywali wspólny światopogląd, wspólną platformę...

To też trzeba tu widzieć naocznie, jaką potęgą, jaką większością rządzącą i miarodajną czuje się tu ta mniejszość, Arjów pruskich czy polskich litościwie ledwie tolerująca. Trzeba było naocznie widzieć i obserwować ten tupet, tę arogancję, tę pychę, z jaką poczuwszy się w przewadze i w gromadzie występuje tutaj to świeżo na wojnie i rewolucji zbogacone parweniuszostwo.

Inteligencja żydowska z Warszawy starego istotnie asymilowanego typu czuła się często tak zażenowana tą prowokacyjną bezwstydną bezczelnością nouveau-riche'ów i litwaków, że wprost zarzekała się raz na zawsze przyjeżdżania do tej „jewrejskiej Riviery". Gdańszczanie zaś i sopoccy autochtoni, zmaterjalizowani do szpiku kości nie patrzą, z jakich to rynsztoków zakrwawionych płynie do ich kieszeni złoto, byle płynęło. Dawna moralność staropruska, która bądźcobądź w życiu prywatnem istniała szczezła doszczętnie. Żydowski Berlin narzucił nawet patrjarchalnym Prusom Wschodnim i Zachodnim nową etykę. Tę etykę przyswoił sobie i Freistadt.

Aby więc jeszcze silniej wyssać przybyszów i gości z „Halbasien" zaaranżowano i to niewielkim kosztem i poustawiano o trzysta kroków od morza cały szereg aparatów, wysysających, wypompowujących z gości resztki złotego szpiku. Niech maleparta idzie do czarta. Te aparaty tłoczącossące uspakajają poniekad i sumienie patrjotyczne senatorów i obywateli. Otwarliśmy wszystkie wrota Ostjudom, ale z nich przynajmniej wygniatamy całą gotówę. Tymczasem: „du glaubst zu schuben und du wirst geschoben"... „Złapał Kozak Tatarzyna a Tatarzyn za łeb trzyma". W każdym razie aparaty wysysające funkcjonują nienagannie dzień i noc.

Nazywają się: „Mazurka", „Kakadu", „Rheingold", „Irem-Bar", „Feuer-vogel" (Żar-Ptica), wreszcie największy z nich wprost na europejską skalę obmyślany cloaca maxima... „Kasino"...

III.

Dawniejszy Sopot tak w stylu jak w charakterze swoim przypominał bliźniaczo inne podobne pruskie bady morskie nadbałtyckie jak Heringsdorff, Misdroy, Ahlbeck, Swinemünde, Norderney, Krakz i t. p.

Tasama architektura will i łazienek, ten sam train życiowy, skromny i patrjalchalny, oszczędność taniość, praktyczność, ten sam typ gości z przeciętnej burżuazji, nie pozwalającej sobie na zbytki ani na luksus, liczącej się z groszem. Trochę nudy i filisterstwa, ale równocześnie prawdziwy odpoczynek, zaprzyjaźnienie się z przyrodą, cały dzień poświęcony morzu i wodzie, a przedewszystkiem dzieciom. Wszędzie, wszędzie dzieci małe, duże większe, golutkie, opalające się, chlapiące rozkosznie.

Dawny typ Kurgastów ciągle jeździł po morzu żaglówkami, zwiedzał okolice, Gdańsk studjował z książeczkami, zapuszczając się w najdalsze uliczki, ba nawet do muzeum we Fran-

ciszkańskim klasztorze!... W piątek na nieszporach w Marienkirche, a w niedzielę w Oliwie na koncertach organowych, na Bachu zbierało się dosłownie całe towarzystwo sopockie bez względu na narodowość. Wyławiano jeszcze na odległych uliczkach w sklepach jakieś antyki, drzeworyty, książki. Na reunionach w kurhausie obowiązywał normalny savoir-vivre a dystyngowane warszawskie panie wiodły prym i imponowały urodą i manierami Danzygerom i Prusaczkom. I na placach tenisowych było czemu się przypatrywać, i w koszach i na plaży panował ton doskonały. Warszawa i Królestwo nadawały wielkomiejskiego szlifu i poloru nieco parafialnemu ale sympatycznemu nie „Weltbadowi".

Dziś bezwględnie zapanowała judemokracja. Garść inteligentnych rodzin polskich, pruskich ba i w. m. ginie, niknie w czeredach ostatecznej bagage. Morze dla nich nie istnieje jak tylko w familienbadzie na godzinę popisu kostjumami i wylegiwania się w piasku. Rybacy żalą się, że nowa publika coraz mniej jeździ żaglówkami na pełne morze. Z Gdańska ta hołota zna tylko Langgasse i sklepy z bucikami i z cygarami. Wycieczek żadnych w cudowne górskie okolice taka publika nie organizuje, Oliwskiego parku, ni klasztoru, ni organów nie zna i nic ją to wszystko nie obchodzi.

W miejsce tego wszystkiego rozwinęło się niebywałe życie knajpiane, spelunkowe, kasynowe, nachtleben i dancingi. Rano się ta hołota „opalała“, popołudniu brała na gwałt lekcje tańców nowoczesnych, poczem wieczorem tańczyła lub grała w Kasynie. Berlińsko-żydowski styl zwyciężył na całej linji. Dancing-roomy porobiono pośpiesznie ze starych sal restauracyjnych, przerabiając solidne wnętrza na bombastyczno-pstre, papuzio-kolorystyczne nory, nadając im najtandetniejsze pozory artystycznego szyku i smaku.

I tu w tych dancing-norach wieczorami rozpoczynał się przy akompaniamencie ogłuszających, ogłupiających jazz-bandów rozbój wprost niebywały, zorganizowany legalnie przez kartel restauratorów. Takich cygaństw i oszustw przy rachunkach nie odważonoby się wyczyniać na żadnym innym punkcie globu ziemskiego. Nie można się zresztą dziwić garsonerji z „Kakadu“, czy z „Mazurki“, że ten typ gości traktowała w sposób tak bezceremonjalny. Wiedzieli oni, przecież, że co drugi stolik to defraudant paskarz, szyber lub szuler, który może jeszcze wczoraj wyszedł z kryminału, a pojutrze może znów tam wróci. Nie można dziwić się kelnerom, że obserwując te maniery nowobogackich, to zachowanie się, taki ton ogólny, odnosili się do tych

gości z bezbrzeżną pogardą, łupiąc tylko, grabiąc i dopisując w rachunkach co się wlezie.

Ponieważ w „dancingach“ obowiązywał „Weinzwang“, przeto tym Weinzwangiem wyduszano z gości miljony i miljardy. Pod Gdańskiem istnieje fabryka tych „win“ z rodzynek, którymi upaja się sopocką publikę w dancingach. Ciecze te wlewane w butelki nie mają z winem nic wspólnego: są tylko albo jasne albo czerwone; etykiety nalepia się w restauracji w piwnicy, zależnie od tego czego taki „bywalec“ z dancingu sobie życzy. Nabrał Szloma Goldgeruch apetytu na „Moet Chandon“. „White Star“, to na „Deinhardt-Riessling“ nalepia się za kulisami markę francuską i Szlomie liczy butelkę po x marek. Stolik Goldgerucha wypił 3 butelki, liczy mu się pięć, dwie puste chytrze podstawiwszy. I Szloma płaci. A jeżeli stary Goldgeruch próbuje coś oponować, wydziwiać, kwestjonować, to całemu stolikowi wraz z damami (nawet z piękną panią Cyrą Hufnagiel, królową sezonu) dostaje się od „obera“ taki grad wymyślań, obelg, epitetów, że przykro słuchać. Dziwić się atoli nie można. Jest to ekspropriowanie ekspropriatorów. łupienie łupieżców, oszukiwanie lichwiarzy. Życzą sobie panny Margulies „czerwonego Burgunda“, kelner z całym spokojem na złość stawia białe Bordeaux i roz-

lewa do kieliszków, patrząc impertynencko na dekoltowaną po pas Andzię Margulies, a drugą rękę opierając swobodnie na gołych plecach Marietty Marguliess... Taki to już styl w tych dancingach, taki ton. Na środku sali dwadzieścia par w tłoku i ścisku obraca w shimmy się jak marjonetki nakręcone a przy stolikach popijają fałszowane ciecze, kwaśne Tarragony, zeprzałe Rüdesheimery nowi ludzie, nowe warstwy, zwycięskie, profitujące z wojen i z rewolucji, wypasłe i utuczone na nędzy i niedoli miljonów.

Takich spelunek, takich tancbud, obdzierających gości bez litości, traktujących publiczność jak ostatnią bagage, zatruwających im żołądki margaryną, zgniłem mięsem i cuchnącemi rybami, wypompowujących miljony marek z portfeli, miał Nowy Sopot aż cztery czy pięć. W jednych tańce, w drugich kabaret, przeważnie z rosyjskich sił się składający, t. j z jakichś wywłoków z Odesy i Charkowa, wśród których popisywali się i autentyczni arystokraci rosyjscy, księżna Golicyn, baron Tiesenhausen etc. Także signum temporis. Sala pełna wystrojonego, wyczupirzonego, wydekoltowanego, szwargocącego wszystkiemi narzeczami Wschodniej Europy litwactwa, a na estradzie oświetlona jarzącym reflektorem, popisująca się dla chleba, dla życia,

dla egzystencji, autentyczna frajlina dworu, krewna Trubeckich, Dołgorukich, Wiazemskich... Numer się kończy, księżna składa długi, dworski ukłon przed szampanującem, klaszczącem żydostwem, z końca sali rzuca jej olbrzymi bukiet „czerwonych“ róż panna Wiera Pomader, „jedynaczka króla szmalcu“ z... Białegostoku.

Ale nad temi wszystkiemi spelunkami wyuzdanych, trywialnych tańców, fałszowanych win, rozzuchwalonych kelnerów i sypiących złotem puryców króluje niepodzielnie słynne Kasyno w czerwonym Kurhausie, cloaca maxima Sopotu. I tu już niema co dowcipkować i na wesoły manier podrwiwywać z tej trywialnej parodji Monte Carlo. To już jest niebezpieczeństwo na wielką skalę i pułapka na Polaków i polskie pieniądze, skonstruowana w wielkim stylu i z dużym aparatem Kasyno sopockie to rewanż Prusaków za „korytarz pomorski“ i oddzielenie Gdańska.

Założyli tę spelunkę dwaj ex-wojskowi, Linke i Rohloff. Kiedy okazało się, że interes prosperuje, gmina sopocka zerwała z nimi kontrakt (w lipcu 1921), wypłaciła im 6 miljonów marek, a zadowolone spekulanty natychmiast założyły drugi dom gry Sandkrug pod Kłajpedą. Obecnie należy Kasyno do związku trzech gmin i trzech powiatów Wolnego Miasta i przynosi

wprost olbrzymie dochody. Co jakiś czas któryś z senatorów protestuje przeciw temu, żeby hanzeatycki Gdańsk ciągnął dochody z takiego rynsztoka złotodajnego, ale reszta podpór społeczeństwa gdańskiego przechodzi nad tem do porządku dziennego i zaciera ręce z zadowolenia, że ta kura z nadmorskiej grzędy znosi tak olbrzymie złote jaja.

Bojkot Kasyna sopockiego, jaki udawało się na jakiś czas w Polsce zorganizować i przetrzymać, w tym roku i w tym sezonie został przerwany. Tamę rozerwali żydzi warszawscy, a za tym uczynionym wyłomem poszli rdzenni Polacy. Już nie potrzebują jeździć do Monaco, gdzie ich wysyłał ongiś Bismarck. Monaco mają tuż pod nosem, 8 godzin drogi od Warszawy. Sezon letni obecny przyniósł tak olbrzymie profity z tej szulerni Wolnemu Miastu, że o zniesieniu jej niema mowy i żadne akcje i protesty nic tu nie pomogą. Nie tylko, że się więc nie zanosi na skasowanie tej budy, ale dyrekcja kasyna buduje nawet hotel na 200 pokoi, Pracht-Hotel, Welt-Palast, ...collosalle Waldorff-Astoria. Rozpisała już konkurs na plany. Bywały dnie w lecie, w które ze samej szmendy (chemin de fer) miała dyrekcja cztery miljony marek na czysto. Specjaliści opowiadają niesłychane szczegóły o tem, jak perfidnie oblicz-

no tę spekulację na lekkomyślność polską. Bakarat, ruleta i bull zabierają dziennie całe fortuny, a zbogacone krupiery i sztonery po jednym sezonie kupują wille i domy. Kilkanaście broszurek pouczającyeh „jak się to rozbija bank" i zawsze wygrywa „bez żadnego ryzyka" wyszło już z druku, a naiwniaki kupują i kształcą się. Przy dwunastu stołach idzie zabawa od południa do świtu.

Przez jakiś czas Polacy trzymali się jeszcze zdala i wobec nawoływań prasy wprost wstydzili się przekraczać progi tej jaskini, zbudowanej jakby na pociechę Hakaty. W sezonie obecnym bojkot pękł i—jak specjaliści obliczają—przeszło 75—80 proc. grających rekrutuje się z Polski, w czem 50 proc. żydów, egzaltujących się w rulecie do szału Ale nie pocieszajmy się tem, że to tylko „nasi najserdeczniejsi". W tym lecie widziano w szulerni nawet Wielkopolan... Wpadło i przerżnęło z kretesem kilku aktorów warszawskich... kilku dziennikarzy krakowskich... jeden poeta i bajkopis znamienity... kilku nafciarzy... Cały Sopot pokazywał sobie palcami hrabiego, który szargał nazwisko historyczne w tej ordynarnej litwackiej spelunce. Można zrozumieć jeszcze polskiego arystokratę na tle Monaco, d'Enghien .. czy Spa... Ale na salach Kurhauzu sopockiego, do którego w samo-

chodach podjeżdżają światowcy w smokingach i piaskowych spodniach, damy w balowych tualetach, a w angielskich żółtych bucikach, gdzie dwaj panowie zaczynają się kłócić i wyzywać w żargonie, panna Morgenbesser dłubie jednym palcem w nosie, a drugim w zębach, a clubmen Pecc, grając „a deux tableaux" raz po raz charcząc, spluwa za siebie „ze zdenerwowanim...", w takim entourage'u widzieć potomka W... P...h jako lwa sezonu, to doprawdy hańba nad hańby...

A jednak tak było. Minęła już, minęła epoka Sienkiewicza i Weyseenhoffa i ich „jasnego brzegu", ich Płoszowskich i Podfilipskich...

Dziś na „niejasnym brzegu" sopockim tonu i szyku nadaje wnuk lichwiarza, który Podfilipskiemu na starość pożyczał pieniądze...

Z rodziny Połanieckich mogłeś widzieć jedną z pań, jak ciemno, skromnie, staromodnie ubrana, oparta na lasce szła czasem na sam koniec sztegu i tam siadała zdala od tych triumfujących, wrzeszczących szumowin, wpatrzona smętnie w ten odcinek morza, polskiego ponoć morza.

SEN SREBRNY SALOMEI KOHN.

....Czy cher maître wie o tem, że właściwie i matka Słowackiego i matka Mickiewicza to były Semitki?

Pytanie to zaskoczyło mnie, trzeba to przyznać, dość niespodziewanie, jak czerwona banderilla, którą matadory wioną przed oczyma rozjuszonego byka na arenie, podczas gdy dookoła czyhają z błyszczącymi w słońcu Corduby długimi damasceńskimi sztyletami pikadory. W tych cyr-konstancjach bowiem pozycja moja była tak trudną i skomplikowaną, jak skomplikowaną bywa sytuacja człowieka, z którym ni stąd ni zowąd wszczynają kon-wersację o stryczkach, o wyjątkowym rozkwicie przemysłu powroźniczego w kraju oraz o kulturze i uprawie kon-opi wogóle, ale w domu gospodarza, ostatecznie nie tak dawno znowu za pewne kon-flikty z kodeksem karnym powieszonego.

Konieczna tu jest kon-notacja, że działo się to wszystko w rokokotowym salonie w parterowych apartamentach starego pałacu w Gruszczyńcach pod Koninem (w dawnej Kon-gresówce) w ciepły wrześniowy wieczór roku Pańskiego 5682 od stworzenia świata pięcio-kontynentowego, w godzinę mniejwięcej po koncertowym obiedzie, istnem arcydziele kulinartystoskiej sztuki chefa Stempkowskiego, nieocenionego Stempkosia, naszego regimentarza, jak go gruszczynieckie towarzystwo zwało, jako że on to właściwie, on, chef kuchni, wiódł główny regiment w tym ze staropolskiej gościnności od niedawna zresztą sławnym domu. Tego wieczoru kohnpania była stosunkowo mniejsza jak zazwyczaj, gdyż kilkanaście osób po kilkotygodniowym pobycie na tej letniej ale i upalnej, przemiłej bo gratisowitej willegiaturze popowracało już do stolicy, do re-Żydencji, lub też wyjechało już za granicę na swoje posterunki i posterania. Ostatecznie przecież nawet i sam gospodarz domu, opuścił nas, by jak rok rocznie gdzieś tam w Concarneau czy w Contrexville jeszcze nabrać sił, jakie utracił ongiś kontuzjowany pod Konarzyskami, gdzie konwojem konnicy pono tak dzielnie dowodził... Została jeszcze w Gruszczyńcach, w każdym razie na Wrzesień, bliższa i dalsza rodzina i ta oto właśnie była zebrana w salonie,

w tym salonie, w którym padło pod moim adresem wyzywające:

...Czy cher maître wie o tem, że właściwie i matka Słowackiego i matka Mickiewicza to były Semitki?...

Wieczór był wyjątkowo ciepły i rozkoszny. Przez szeroko rozwarte okna i szklanne drzwi od balkonów szedł z pól koniczyny i konopi kwitnących zapach upojny i delikatny. Salon skon-ponowany pod względem umeblowania jako ostatni wyraz konfortu, smaku i dobrych tradycyj, zalany był pożogą rzęsistego światła, buchającego z czterech ciężkich kryształowych pająków. Pryncypalną ścianę zdobił arras olbrzymi, niedawno tu rozmieszczony, ze Stockholmu przywędrowany, pono przez trzysta lat w pałacu jakimś w Oranienhofie czy -baumie wiszący, „odnalezienie Mojżeszka w sitowiu przez młodą faraonessę" figurujący. Dopiero na tle tej jego spłowiałej, zmęczonej, rdzawo trawiastej zieleni przepysznie profilowała się w swej niepospolitej egzotyczności przesmukła postać Gruszczynieckiej dziedziczki, jako cedry na Libanie strzelistej i jej niepokojąco w żółtość starej kości słoniowej wpadająca ciała karnacja, i jej głowy owal omal jajkowy, tak łudząco donnę Contarini pędzla mistrza Conciniego przypominający, jej przebujne podzwrotnikowe, rudziawe kędzio-

ry, w tył głowy od czoła obnażonego raptownie w tył rwane, jej całe wogóle piękno, nouvelle beauté, w kirną wprost czerń łyskliwego crepe de schim:ny bezlitośnie spowite i spętane. Pani generałowa Gruszczyńska (gdyż ona to była, jak się spółcześni domyśleć już chyba mogą) stała oparta o wysoki porfyrowy pilaster, na którym niebieszczała wyzywająco malachitowa amfora, niedawno tu ustawiona, z Con-stanzy przywędrowana, przez trzysta pono lat w krymskim Bakczyseraju stojąca, z wyrżniętym przemisternie reliefem: „Hagar na puszczy“ figurującym.

A koło madamy, jak zwykle, damy dworu Gruszczynieckiego na szerokich czeczotkowych fotelach. Jak z dziwacznych wazonów japońskich egzotyczne kielichy kwiatów, tak z jedwabistych więzi kunsztownych, kapryśnych tualet wyłaniały się ku światłu obnażone con grazia szyje łabędzie, pyłem konwaljowym wonne.., Jako duże włochate trutnie, trzmiele i bąki, tak w koło tych barwnych kobiecych kielichów krążyły i pochylały się wysmokingowane owady, wdechające lubieżnie czar z czar dekoltu. Wino przy obiedzie było: Pomery-Demi-Sec-Moet-Chandon-Cordon-Rouge-Roederer-Gladiateur, to też i konwersacja nie kon-wencjonalna perliła się upojnie i szampańsko, utknąwszy dopiero teraz nagle na pytaniu zawieszonem w przesyconem mgłami egipskiego tytoniu powietrzu.

...Czy cher maître wie o tem, że właścicie i matka Słowackiego i matka Mickiewicza to były Semitki?...

Podobne wyzwanie, jak się łatwo można było domyśleć, mogła rzucić mi tylko jedna jedyna, najbardziej obcesowa agresywność z tego konwiktu Kon-eserek i sawantek to jest contessa Colette Konarska - Konicpolska, rodzona siostra gospodyni, znakomitość krajowa i na export. Ani sama pani Salli, coraz lękliwsza, delikatniejsza i pokorniejsza przez tę swoją szybko rozwijającą się przypadłość tajemniczą... ani jej jeszcze zawsze urocza i rozromanserowana szwagrowa kontradmirałowa Kondecka, (Ninon de Lesbos we familji nazywana)... ani znana w całej okolicy i dalej jeszcze, bowiem aż nad Bosforem, sportlady tej dynastyi nasza pani konsulowa w Konstantynopolu... ni panna Ella Makowerska, ni nawet pani Telimena Soplitz-Soplicowa, choć ta ostatnia, jako senatorowa i małżonka tak potężnego w państwie dostojnika, jeszcze mogłaby rościć sobie pewne prawa do zadawania tak aroganckich pytań komuś, kto mógł lada chwila zostać „kawalerem Maltańskim“ in partibus infidelium, lub honorowym członkiem-korespondentem Naczelnej Rady Ku-Kluks-Klanu...

...Czy cher maître wie o tem, że właści-

wie i matka Słowackiego i matka Mickiewicza, to były Semitki?

I po tych słowach cała ta select-society utkwiła we mnie wzrok badawczy, nie taję, że i nieco sarkazuistyczny... Najjadowiciej przeszywał mnie przez swój błyszczący monokl wiceminister aeronautyki Sławomir Koniński, stryj pani domu, atoli nie można powiedzieć, żeby otuchy mi dodawał i uśmiechnięty sardonicznie z poza swoich olbrzymich amerykańskich czarnorogowatych okularów wojewoda Konar. Najboleśniej atoli odczuwałem w epidermie melancholijnie smutne spojrzenie chorych w swem pięknie i pięknych w swej chorobliwości, ciemnych schaphyrowych oczu huryssich samej pani domu. Dużoby o tem gadać dlaczego, a na confiteor dzisiaj i czasu być nie może. Dość powiedzieć, że dzisiejszą panią jenerałową i dziedziczkę Gruszczyniec znałem ni od wczoraj, ni od przedwczoraj, a od ćwierćwiecza z przysypką. Znałem jako młodziuchne, wiośniane dziewczę, jakby zeszłe z obrazu jakiegoś Boticelliniego, (bo urok tych dwóch mistrzów w sobie jednoczącą). Miała wtedy ramiona Ruth, stopy Betsaby, kolana Abigail, plecy Tamary, karczek Lilith, usta Miriam, cerę Judyty, oczy Estery, a głód wrażeń Maryi z Magdali. Wobec tego wszystkiego została tem, czem dziewczęciu go-

dzi i trzeba zostać, gdy się jest tak amaltejsko przez naturę uposażoną, to jest.., aktorką. Z jej ról pamiętam jeszcze dziś bardzo żywo: „Salomę“ Wilda, Rachelę w „Weselu“, Jessykę w „Kupcu Weneckim“, Judytę w „Księdzu Marku“, no a najwięcej Salomeę w Śnie Srebrnym.... Jak z tego każdy kon-eser teatru wykonbinuje skala jej talentu była tak wysoką jak skała, po której się wspinała wzwyż, aż do zawrotnych regionów sztuki. W Słowackim jako w dramaturgu kochała się w tych latach tem zapamiętalej i ekstatyczniej, że równocześnie i mężczyznie, który w tych latach najwięcej zabsorbowywał jej czaru i czasu było na imię też Julek, a Juljan ten, chociaż był bankierem z zawodu i z konfessyi, jednak i na kón-sztach, na sztuce się znał i pisywał poezje w najpoczytniejszym or-gaminie conieco brukowatym... Pamiętają chyba jeszcze wszyscy te niezapomnienie doskonałe kreacje Salomei Konarskiej, pamiętają zasię chyba niektórzy (znający osobiście tę różyczkę Saronu), jej connaisanse Słowackiego, jej głębokie oczytanie w „Genezis“, w „Królu Ducha“, w „Samuelu Zborowskim“ szczególnie, dla jego... samuelizmu. Pamięć miała tak świetną Konarska, recytowała tak con fuoco całymi stronami Beniowskiego czy Beatrix, tak przestudjowała con amore i wszystko, co gdzie o nim skoncypowano kry-

tycznego, że nazywano wonczas Salusię Leksy-Konem Słowackiego.

...Czy cher maître wie o tem, że właściwie i matka Słowackiego i matka Mickiewicza to były Semitki?...

Pytanie to zaskoczyło mnie najniespodziewaniej w tym momencie właśnie, kiedy zasnuty smugami dymu z egipskich delicji przypominałem sobie błyskawicznie nasze pierwsze poznanie z generałową ćwierć wieku temu,.., kiedy była jeszcze huryssą, faunessą, faryssą. Po kilku latach wypłynęła na powierzchnię znowu. Prosto z Paryża... jeszcze miała na sobie rosę spadłą z drzew parku Monceau, kapelusze Ducona, kostjumy od Con-duits-Freres, perfumy „Jideal“.. Zawsze urocza, egzotyczna, przedziwna, zwycięska zamieszkała pod przyszłą stolicą w uroczej willi w Zako-bardzo-pańskim stylu, którą jej na poczekaniu zbudowano; na nadwiślańskim piasku rozbiła swe namioty. Willa panny Konarskiej, Cohn-cottage zwana, stała się pierwszym warszawskim salon de refusés, w którym spotykało się to wszystko, co w towarzystwach z tamtej strony Sekwany się nie spotykało: dusze kobiece zapoznane, żony brutalnych mężów, istoty już rozwiodłe lub będące w stadjum rozwodzenia się, wesołe wdówki i sieroty, świeżo zbiegłe od małżonków, artystki

które już wyszły za mąż, albo które lada chwilę mają debiutować, pewne hrabiny starszejsze, poważnione ze swymi rodzinami i rodami tu znajdowały schron pod dachem panny Konarskiej w Cohncottage. Z mężczyzn zasię to, co w tej epoce niepokojąco genialnego wyradzała z siebie rasa, a raczej dwie rasy zassymiłujące się. Urocza pani Sally królowała w tym karawanseraju, koncentrując i kondenzując w sobie bez komplementu wszystkie uroki i przymioty pani de Recamier, de Sevigné, de l'Espinasse, de la Palisse, de Bergerac i de Bovary.,. Cohncottage był rendez-vous for precieuses radicales de tout Varsovie... z przyległościami i z przypadłościami... Wiankiem sawanturnic jako fraucymerem otoczona, królowała tu Sally, promienując radjalnie pięknem, szykiem, erudykcją, dowcipem. Mniej już recytowała Słowackiego, ba nawet zdaje się zapomniała, czy bagatelizowała już całą polską poezję wieszczą, której dawniej była taką trabantką i korybantką, a natomiast została zdecydowaną... „dementystką", pierwszą naszą dementystką. Znudzona dość przedwcześnie tem wszystkiem z wczoraj i tem co z dzisiaj, ciągle starając się „être à la mode" stała się obligatoryjnie jakąś „novatrice par principe", każdorazową futurystką, prekursistką każdego nowego dreszczu, rytmu i krzyku, eksta-

żującą to tylko, co dopiero będzie, co jest dopiero jutro, demain. Co rok, co kwartał, co miesiąc, co tydzień, co noc—gorączkowo, kurczowo, epileptycznie zmieniała swój „ideał“, trzymając się tylko konserwatywnie perfum: „Jideal“. Każdy autor, książka, obraz, preludjum, scherzo, sonata, którą już słyszało, znało, czy chwaliło choćby pięć typków czy kreacji z Cohn-Cottage, już dla niej nie istniały. Picasso, Matisso, Carasso, Gogh, Magog, Demagog, Stravinski, Niestrawinsky, Ravelsky, Beardsley, Bang, Bakst, Barbusse, Rollandysci, Bollandysci, Tollandysci, El Greco, El-Moro, Chesterfield, Chesterton, Dulac, Duhamel, Durenne, Kawakami, Yosziwara, Hiroszige, to wszystko i drugie tyle cwałem i galopem przejeżdżało przez jej główkę, poczem było rzucane na łup i na lep w Cohn-Cottage, robiło kon, ketę chwilową, poczem szło w lamus, w magazyn, na strych, w śmietnik. W każdym razie Cohn-Cottage to był ten huczący i noc i dzień, głównie nocą, młyn, gdzie się pierwsze i wysortowane zagraniczne ziarno duchowe mełło językami na mączkę, która potem szła w snobinetty, w elitę re-Żydencji, w naród wybrany, a potem w zwykły lud. Że zaś przytem w willi za Wisłą i kuchnia stała na wysokości poziomu intellektualnego, przeto w salonie reine de la boheme, bywało

rojno, rajno, rujno, „a gdzie wznosił się cottage Cohn cyganerja miała swój schron!“

...Czy cher maître do krocset djabłów słyszał pytanie contessy, czy nie słyszał? Co chere maître do tego? Były Semitki, czy nie były?

Teraz uczułem dopiero, że żadnego już wyjścia z tej sytuacji ni przez okno nijak niema, skoro delikatnie jeszcze sformułowane przez próchniejącą contessę Konarską-Konicpolską pytanie powtórzył już znacznie brutalniej kontradmirał Kondecki. Napaść Coletty mogłem puścić mimo uszu, jak tyle ataków ze strony tej przetłuszczonej menady, pocącej się tak antypatycznie, zapadającej co rok w ciążę twórczą i wciąż obdarzającej nas swymi konwencyonalnymi kohnpozycjami bez poczucia kontrapunktu, nadto swym kontraltem wyjącej coś bardzo niekoncertowo. Mogłem udawać chwilowo, że jestem zagadany z wojewodą Konarem o bieżących kwestjach politycznych, o konwencie seniorów, o nadchodzącej rekonstrukcji gabinetu, kon-junkturach państwa konsolidującego się, kohnwentyklach i konspiracjach nieukontentowanych elementów, konieczności koncesji dla uniknięcia konfliktów i tp... kon-binacjach. Tymczasem zaś tak głośno i twardo rzucone pytanie domagało się jednak odpowiedzi. Trzeba było zebrać całą przy-

tomność umysłu, aby w tem towarzystwie tak wytrawnem i wytwornem, a jednak będącym mixtum cohn-positum i cohnglomeratem (do pewnego stopnia zanadto „contemporain“ czy „cohntemporary“) odeprzeć zaczepkę kontratakiem silnym, a delikatnym, wytwornym, a druzgocącym.

Ostatecznie bowiem w salonie Gruszczynieckim tego wieczoru tym razem zebraną była przecież nowej Polski, nowego państwa można powiedzieć elita, śmietanka, konfitura: wojewoda, kontradmirał, wiceminister, senatorowa, generałowa, znakomitość konponująca, reprezentanci rodzin i rodów: Konarskich, Kondeckich, Konińskich, Konarow, Konicpolskich i skuzynowanych z nimi Makowerskich, Soplitzów, Gruszczyńskich... Ostatecznie cała ta kompanja, z którą od dawna już osobiście zerwałem wszelkie kon-szachty, a która właściwie już mnie in contumatiam skazała na szafot jako konsekwentnego kontrrewolucyonistę i-kon-oklastę, tutaj teraz od dwóch tygodni była dla mnie uprzedzająco grzeczną, ciepłą i miłą. Ostatecznie zaś sama dziedziczka Gruszczyniec, jenerałowa Gruszczyńska, dała mi chyba dostateczny dowód chrześcijańskich cnót niewieścich, skoro przebaczyła mi i zapomniała moją: „Rzeź Arjożerców“ i tak serdecznym listem zaprosiła na wrzesień do Gruszczyniec „na małe polowanko, na ma-

łego pokera i na wielki wypoczynek"... Zapewne atoli, że ściśle biorąc wypoczynek ten wielkim nie był, skoro od rana do wieczora przebywało się w kon-fraterni osób mnie kon-genialnych i brało się bo brać musiało, udział w kontrowersjach tak niekonwencyonalnych, że trzeba było kontrolować siebie ciągle i czujnie, aby nie wpaść w kon-sternację, nie stracić kon-tenansu i nie wyrwać się jako ten Filip z Kohnopi czy ze Lnu, z jakimś konceptem kohnpromitującym. Prawdziwy wypoczynek to miał ot, pan domu! nasz Connetable czy Kondeusz, dzielny i młody generał Samuel, sam przebywający sobie gdzieś tam nad morzem w Concarneau!.. Ale tu w Gruszczynieckim dworze? tu te wyczerpujące dyskusje szły za dyskusjami, dzień w dzień, noc w noc, jak ongiś w Cohn-Cottage za Wisłą, jeno w komplecie tak innym, tak innym!.. Mimo tego, że pani domu była przecież cierpiącą, że właściwie była świeżą rekonwalescentką, że znów dostawała raz po raz tych straszliwych kongestyi mózgowych i zaćmień, to jednak i ona sama zawsze brała w tych nieskończonych koncyliabulach udział najżarliwszy i nie rzadko a gęsto sama je in-Spiro-wała.... Ba nawet zaryzykowałbym tu suppozycję, że pod jej to wpływem suggestywnym a niezdrowym dyskusje te chorobliwy przybierały ton i koloryt... Czasami

zdawało mi się nawet, że ten jej dawny z przed wojny „dementyzm“ wprost przybierał już cechy demencyi... i również dziwacznie nastrajał całą kohnfraternię Gruszczyniecką, na tej miłej willegiaturze tu zebraną. Intellekt pani Salusi bowiem, ongiś tak tęgi, wyjątkowy, emocyonalny, tak w Słowackim i wieszczej poezyi obyty i bywały, teraz przez te fatalne nocne kongestje mózgowe i sny koszmarne przemęczony, czepiał się raz po raz rozmaitych przypadkowych objektów myślowych... Akurat zaś na ten czas, kiedy to ja zjechałem do Gruszczyniec, uczepił się już zgoła maniakalicznie czegoś wprost zdaje się bezgranicznie... śmiesznego... Były to objawy stanu już chyba conieco psychopatologicznego a nawet u Krafft-Ebbinga nie zakonotowane! Bo proszę sobie wyobrazić w jak dziwnym kierunku, w jakie to zboczenie nieprzyjemne wpadła żona jednego z naszych najdzielniejszych młodych generałów, bohatera z pod Konarzysk z r: 1915!.. żona Samuela Birenzwerga-Gruszczyńskiego! ongiś znana pod pseudonymem Konarskiej tak świetnie na polską Sarę Bernhard się zapowiadająca pani Salusia! Co więcej, w jaki to rodzaj maniactwa zdołała od dwóch tygodni wepchnąć także swych gości.

...My dearling, odpowiesz nam pan czy nie

odpowiesz na kwestję „z matki obcej, krew jego dawne bohatery, a imię jego 444“..?....

Zaczęło się to maniactwo zaraz po moim przyjeździe od całkiem niewinnej przy czarnej kawie i koniaku rozmowy literackiej na temat Benjamina Constant... Ktoś w towarzystwie napomknął, że baron Constant de Rebeque, znakomity pisarz francuski musiał być pochodzenia starozakonnego, skoro był baronem, miał na imię Benjamin, pochodził z de Rebeque, był wrogiem monarchji, twórcą kohnstytucjonalizmu, a nazwisko jego zaczynało się na: con. Wraz potem w kohnplecie literacko przeoczytanym potoczyła się rozmowa o tem, jakto we francuskiem piśmiennictwie wiele świetnych nazwisk rozpoczyna się na cohn: Condillac, Considerant, Condorcet, Concience.... poczem przeszła rozmowa na „Cohntract sociale“ Rousseau... na ostatnią pracę o tem w „Revue Con-temporaine“, aż wreszcie starzejąca się faunessa Colette Konicpolska z Kontryfałówki na Podolu wyrwała się ni stąd ni zowąd z rewelacją, że znakomity poeta francuski Rimbaud zwał się właściwie Riembauch, że opowiadał jej to G. Kahn, znany krytyk paryski, kiedy była w Cannes i dawała tam koncert konpozytorski w Konserwatorjum tamtejszem.

Na drugi czy trzeci dzień znów nawiąza-

no rozmowę do tego nieszczęsnego „kona"... i to już wprost z pewnym prowokowaniem czy adresowaniem w moją stronę. Ponieważ wiedziano, że choć miłowałem Constanta za jego „Adolfa", to jednakże kochałem się długie lata (bez wzajemności) w Szekspirze, przeto przy obiedzie wszczęto rozmowę o nim, odgrzewając stary zbankrutowany kohncept, że nie Szekspir pisał dramat o ...Szajloku lecz Bakon! A kiedy podrazniony do żywego, zapytałem wprost:—a kto to zacz ten Bakon?, głos zabrała gospodyni domu i pozornie spokojnie, ale z miną lady Makbet a tonem Ofelji w 5 akcie odpowiedziała mi: Zapewne jakiś Kohn, Benjamin Abraham Kohn, B. A. Kohn... Wszystko bowiem, co genialne, co wielkie, co wyjątkowe, co zdolne na tym kontynencie to przecież....

I już oto bystrym potokiem potoczyła się con fuoco rozmowa o potędze i geniuszu rasy kon-skiej, rozmowa przygniatająca i konfundująca mnie różnorodnością dokumentów i argumentalji. Niby to żartem czyniąc koncepty, a jednak tak sypano mi w uszy nazwiskami Spinozy, Bergsohna, Zangwilla, Marksa, Lassala, Wassermana, Kocha, Cohena, Weiningera, Freuda, Mantegazzy, Moissiego, Reinacha, Einsteina i tylu tylu innych ich konpatrjotów, że oszołomiony, przygnieciony, ogłupiały, spokorniały siedziałem, za-

pomniawszy omal o egzystencji języka w paszczy. Istne gesta Dei per Cohnos! Wszystko, co sławne i wielkie, co mocarne i jutrzejsze!—Przecież to jest chyba megalomanja, uogólnianie, droga generałowo, szeptałem zbladłymi wargami, grzebiąc łyżeczką w kandyzowanych owocach kon-potu... ...Przecież trzeba sobie uprzytomnić do czego analogiczna panpsychoza annex-Syonistyczna doprowadziła Teutonów, którzy także w każdej zdolnej szelmie na globie dopatrywali się „blonde Bestie", z Kolumba, Leonarda, Tołstoja, Bayarda, Payarda robili Urteutonów...

...Była matka Słowackiego frankistką, mistrzu drogi do djabła, czy nie była?... Czekamy!

Oni czekali, a ja szybko tymczasem rekapitulowałem w głowie i przypominałem sobie ostatnie dni i ostatnie dyskusje. Teraz dopiero zaczęło mi się conieco wyjaśniać we łbie zakutym. Pobyt w Gruszczyńcach był bardzo uroczy, ale istotnie przeciążony zbyt mądrymi, zbyt wyczerpującymi, zbyt miejskimi, wielkomiejskimi tematami rozmów. Rano tennis, hockey lub golf, łowienie rybek w jeziorze, grzybobabranie w pysznym bukowym lesie, przejażdżki we dwa wolanty, lunch na murawie, w zagoyniku. Rozweseleni, rozbawieni, rozkładamy na

mchu szeroko obrus, z necesserów skórzanych dobywają butelki, termosy, garnuszki z galaretkami, kwiczołki, stareczka, rydzyki, sardyneczki, rzodkiewunia, pomidorek, burgundzik... słońce świeci, gaj pachnie, sarna z krzaków głowę wychyla, koniki polne świegocą, puhacz kuka z dębiny, słowem ciepło, wonno, miło, człowiek wniebowzięty, upojony. A tu ni stąd ni zowąd pani Telimena Soplitz-Soplicowa patrząc z zachwytem dokoła, nagle wyrywa ci się.

... Ach! jakby to taki Constable namalował!

... A tobie, Telciu, z jakiej przyczyny na myśl dochodzi Constable?

... Dlaczego mi, drogi wojewodo, nie ma przychodzić Constable? Widocznem jest, że kochany kuzyn nie uznaje walorów Constable?

... Co ja mam nie uznawać Constabla, kiedy ja jego nie znam. Konstabel to jest policmen, tak? U nas w Kohn-gresówce to on się nazywał po prostu stójkowy, a stójkowego malarza to ja żadnego nie znam...

... Wojewoda dużo jeszcze pięknych rzeczy nie zna!

... I ja mogę przetrzymać, pani ministrowo!

... Ach dosyć tych konceptów, Dezydery! Mógłbyś się już od nich oduczyć, bardzo albo-

wiem pachną jeszcze giełdą, bankierami i tem, co to pan wiesz... koniną... nie konnicą!..

... No ty Coletto, także nie jesteś za-konnicą, to możesz już usłyszeć czasem i trefnego witza. Azali nie?

... A ja się pytam odkąd to koncepty Kohna musi być czuć konwaljami?...

Po tych słowach figlarnie rzuconych w powietrze przez zawsze wyrywającą się nie à propost Ellę Makowerską, jakby prąd elektryczny przeszedł po całusim towarzystwie, malowniczo po turecku rozsiadłem przy tej fête-champêtre pod Gruszczynieckim lasem. Widoczne było, że goście, podnieceni urokiem przyrody, zanadto wypili odrazu świetne ale mocnej Con-naught-whisky i zapominając się do cna, przeszli jakby granicę swego kohn-wenansu.

Nawet Dezydery Konar, wojewoda łódzko-żytomierski, uczuł się nieco zażenowany. Genialna megera Colette comtesse Konicpolska-ostrem karcącem spojrzeniem wiedźmiowem obrzuciła siostrzenicą swoją, (a latorośl słynnego z powieści Orzeszkowej rodu). Kontradmirał Kondecki zachrząkał głośno, jakby krztusząc się swym wonnym a mocnym Henri Clayem. Co do mnie udałem szybko, że nic nie słyszę i nic nie widzę, lecz zajęty jestem całkowicie podpala-

niem olbrzymiego mrowiska, kiedy nad wszelkie spodziewanie gospodyni domu podjęła ten temat (drażliwy tu i niebezpieczny jak rozpalone żelazo) i z największą swobodą, choć nieco błędnym wodząc wzrokiem, zatrzepotała...

... Ach moi drodzy! Czego się mamy żenować, sacrebleu! Przecież pan Adolar wie chyba dobrze w czem rzecz! Cóż tak nagle straciliście kohntenans? Przecież jako ekonomista i konserwatysta wie dobrze, że w dzisiejszej konjunkturze, na żadnym kontynencie bez pierwiastku „cohn" nic się wykoncypować nie da. Jest to conditio sine qua non! Tak czy nie?

... Con-cordia parvae res crescunt, odezwał się z boku sentencjonalnie wiceminister Koniński ..

... A widzisz... Już sam język polityczny, gwara gazet, styl wszystkich artykułów wstępnych wykazują, że bez pierwiastku „kon", nie możnaby napisać jednego artykułu, wygłosić jednej konferencji!!. Tak czy nie? Zresztą tak było już i w starej Polsce chyba: Konwokacja, Konfederacja, Konstytucja, Kondemnata, Conventa pacta.

... Kohntusz...! szepnęła z boku Telimena Soplitz...

... A dzisiaj moi drodzy? Co dało wolność i niepodległość naszej ojczyźnie?

... Kohn-Spira-cje,—wyrwała się z pod krzaka sympatyczna Ella Makowerska.

... Nie żadne Kon i Spiracje, ma cherie, a Kongres Wersalski, Konferencja Paryska, konwencje, kontrasygnowane przez... kontrahentów.

... Kohn-Alicji.

... Nie róbcie dowcipów moi drodzy! Jeżeli tylko będziemy kon-sekwentnie kohnbinowali, to musimy dojść do konkluzyi, że tylko drogą konwencji i koncesji przyjdzie do skonsolidowania się, do koncentracji, do konwersji naszych długów, do przywrócenia koncertu europejskiego wogóle, podczas, gdy w dzisiejszych konjunkturach kontynentalnych wszelkie osłabienie kontaktu ze skohncentrowaną potęgą naszą jest destrukcją a niekonstrukcją, wszędzie tylko konfliktami wewnętrznymi i zewnętrznymi się kończy, a kontrrewolucyjne zakusy wogóle trzebaby opłacić niejedną konfiskatą czy kontrybucją... Skończyłam...

... To tyś skończyła Sally, ale ja zaczynam, moi mili, wykrzyknie na to rozochocony wojewoda Konar. Pozwólcie-że i mnie raz się wypowiedzieć w tym materjale, co do źródłosłowa: kon. Dlaczego to ma być tylko specjalność Sallusi? Ja choć wojewoda, ale też kiedyś byłem farysem i pracowałem w pewnym banku. A dziś rano to ja sobie tak w łóżku, przy śniadaniu kon-teplowałem, tak przypominałem, co jest np. najważniejsze w życiu ekon-omicznem o... w bankowości o... w finansach.

... Dezydery trzymaj się, bo będzie gaffa!...

... Gaffa to jest twoja specjalność Telimenuś. Więc pytam ja się teraz pana panie Adolar, co pan tu możesz dokonać bez takiego małego Kona? Czy pan może podpisać kontrakt? dostać koncesję? zawrzeć konwencję handlową (choćby z Kon-go?), stworzyć konsorcjum, czy choćby mały konsum, już nie mówię o wielkich kon-cernach! Ale jak się pan obejdzie bez kontuaru?.. A czy nie musi pan mieć dla swoich konsumentów kontyngentu towarów?

... A kontrabanda choćby! z pod krzu głogowego krzyknęła nagle miss Ella.

... Na kontrabandę to jest kontrola czy konfiskata, tak jak na konkurentów to jest porządne konto w Banku i spółka z dobrymi consortes... o!

... A tylko na konskie koncepty Elli Makowerskiej to nie ma żadnej kontr-pary! Jednem słowem, konkretnie mówiąc rozwój ekonomiczny jak i polityczny bez tego Kon jest nie do skonbinowanie, jest niemożliwy, jest niedoskon-ały!

Po tych słowach stanęła nademną, siędzącym melancholijnie na poduszkach z kwitnącego wrzosu nasza Amfitryonessa i kładąc mi dłoń liljową na siwiźnie cedziła powoli, miękko ale nie bez imperatywu w intonacji...

... Tak kochany Adolarze! Condomium jest konsekwencją, warunkiem kon-figuracji con-

temporary i na to nic pan nie poradzi, żeby pan nie wiem jak wysilał swój, jak mawiał Przybyszewski „biedny człowieczy móżdżek“.....

Tego dnia wracałem z tej leśnej czarownej eskapady do Gruszczynieckiego pałacu z jakimś niewytłómaczalnym, podświadomym, nieokreślonym smętkiem, nieco niesmakiem, nieco obżydzeniem do świata, do ludzi, do tego tutaj, do tej tam: reŻydencji... Wszystko, co mnie otaczało zaczęło mi się przedstawiać w jakiemś sztucznem świetle, jakby w zwierciedle wklęsło-wypukłem, jakby jakaś maskarada demoniczna ze sztychów Goyi... goyi... dla goyów... Dźwięk słowa, słówka „kon“, pozornie drobnego, bezbronnego, niewinnego słówka „kon“, narzucanego mi tylokrotnie w słuch, w uszy, w mózg, rozrastał się w mojej widocznie przemęczonej świadomości, do rozmiarów dręczącego, pajęczego koszmaru! Odczuwałem wyraźnie, że omotają mnie jakieś niesłychanie subtelne, delikatne, włochate, cieniutkie jakby ljany jakiegoś niewidzialnego, niedotykalnego, a jednak beznadziejnie potężnego potwora i,—głupio to przyznać czy na głos powiedzieć,—potwór ten wprost szeptał mi w uszy swe imię: Condomin... condomin, condomin... Oczywiście równocześnie musiałem przywołać do porządku całą moją trzeźwość i przytomność umysłową,

wyszłą nieco z zawiasów, wskutek nadmiernej „kon-sumpcji koniaku“... tembardziej, że przecież sam zeszofowany, a jako szofer prowadziłem samochód firmy „Fiat“, arcydzieło włoskiej genialności „Fiat“... Torino... Fiat.. Condomin... Pędziliśmy potężnie fatalnym polskim gościńcem wiejskim, a mnie do głowy strzelały dzikie konbinacje i pomysły szaleńcze. Wiozę sześć osób z najpotężniejszej dynastji nowego państwa: wojewodę, senatorową, wiceministra, kontradmirałową, generałową i to babsko opętane beylisowieckim semiluesem contessę Colettę Konicpolską z Kontrafałówki...

... Teraz z prawej murowana maleńka męka Pańska z blaszanym daszkiem i lampeczką... Jeden skręt ręką i rozbiję na miazgę to nowe państwo: Konicpolskich, Konarskich, Kondeckich, Konarów... Niech djabli biorą Kohn-dominium...

... Dear Master, czy nam pan odpowie na pytanie, czy nie? Salomea z Januszowskich Słowacka była frankistką, czy nie?..

Dłużej już milczeć oczywiście nie można było. Qui tacet consentire videtur. Skorom zresztą ich dziś popołudniu cało i z życiem do Gruszczyniec już dowiózł i przed werandą wysypał, skorom ani jednem słówkiem nie zdradził się ani z moimi myślami, ani uczuciami, skorom wreszcie już pani domu zapowiedział, że

jutro popołudniu wyjeżdżam, wypadało chyba jeszcze ten ostatni wieczór zachowywać się najbardziej correct, ażeby niczem nie zdradzić, że znam tajemnicę ich wszystkich i domyślam się celu w jakim mnie tu, powiedzmy sobie... zwabiono. Teraz dopiero, dopiero teraz przypomniałem sobie dzień po dniu całe moje staggione w tej Gruszczynieckiej Gol-Cohndzie, w tem pięknym chébarajskim kraju naszego za-kontku.

Otoczono mnie przepięknem pejsy-ażem, ugoszczono we dworze staroszlacheckim, ugarnirowano wianuszkiem dziewięciu dekołtyjących coraz więcej Gracji (nie liczę cuchnącej starymi serami i pieluszkami noworodków wampuki contessy Coletty), pojono winami ze starych kasztelańskich piwniczysk, odymiano hawańsko, rozbawiono szampańsko, ale równocześnie, równocześnie wsączano dzień w dzień kropelkami delikatnie, subtelnie, straszliwą starowłoską truciznę, głupio to nawet przyznać czy na głos powiedzieć, ale znaną już wszędzie pod dziwaczną nazwą condominium (absolutum); na truciznę tę składa się jak wiadomo to, co się składa wogóle na substancję i nowoczesnego świata chemicznie biorąc, tj. C (Carbo) O (Oxygen) H (Hydrogen) N (Nitrogen). I trucizna ta już od pierwszego dnia zaczęła działać, zaćmiewając we mnie z góry zmysł bezpardonującej krytyki, agresywność oporu, no a prze-

dewszystkiem pacząc powonienie! Z momentem bowiem, kiedy koneserowi konkubizmu już pewna sorta orientalnych kohn-walji zaczyna pachnąć, z tym momentem substancja C.O.H.N. już... już działa piorunująco rozkładowo na najtęższy charakter męzki M^2 (maskulinum muskularne). Rozkładając F (Ewe C.O.H.N.) przed sobą równocześnie rozkłada się M. etycznie sam.

Tymczasem mnie właśnie tu, w tym starym Gruszczynieckim pałacu, przez papę Kohna nie tak niedawno jeszcze na licytacji kupionym i w posagu zięciowi Bierenzwergowi ofiarowanym, tu w tym starej rasy orlej gnieździe szacownem, ośmielono się dzień w dzień, noc w noc suggerować misternie, że to właśnie promiskuicja tylko daje rasę nadludzi, czy nadrasę ludzi zdolnych, utalentowanych, interesujących, wybitnych, rządzących, szczęśliwych, zwycięskich, tryumfujących... że same samicogłoski (voyelles) bez spółgłosek bez con-sonne nie dają nawet dźwięku mowy ludzkiej, że bez zgłoski „con“ bytowanie ludzkie byłoby dysonansem, nie consonansem... że „contemporary struggle for life“ harmonja warstw socyalnych opiera się tylko na „Contract sociale“... że pierwiastek „con“ musi być integralną częścią składową i kon-serwatyzmu i kon-spiracji przeciw niemu, że element „kon“ jest niezbędny w każdej kondygnacji

i warstwie socyalnej skoro jest nawet w każdej konstellacyi gwiezdnej, że stało się to już konwecyonalną prawdą dla wszystkich którzy mają con-naisanse tego co contemporaine!...

Zatem conquerantem na którymkolwiek kontynencie może być tylko tylko ten, kto się godzi na ...cohndominium i basta!

I jakby na przeprowadzenie dowodu prawdy ad oculos, dla przekon-ania mnie o konkiecie rasy naszej tylko wtedy kiedy z kon-ską pomieszana, skonfrontowano mnie tutaj podstępnie z tą kongregacją dostojną i wytworną (Geld, Geist, Gold, Gust, Gouvernement), w której krwi: carbo, oxygen, hydrogen, nitrogen stanowiły skład główny. Wojewoda, kontradmirał, wiceminister, generałowa, „genialna Polka“ żółtozębna, piegowatowana, kłapoucha, zaropiałooka i wiecznie niedomyta contesse Colette Konicpolska, zwana po jej symfonji „Samsohn i Filistyni“, (poraz pierwszy odegranej w Congsvinger w Danji pod batutą kapelmistrza Sigurda Cohna) wprost „niewieścim Chopinem“,—dowcipna nad wszelki wyraz panna Makowerska, dalej first class sport-lady pani Soplitz (champion żaglowania, pływania, boxu, foxa, tennisa i t. p.), wszystkie te panie i wszyscy ci panowie mili, dowcipni, doskonale wychowani, w każdym calu europejscy, grający pierwszą rolę w społeczeń-

stwie, w nowem państwie, ba już nawet na kon-tynencie europejskim to była przecież jedna wielka bujnie rozgałęziona rodzina konwertytów, niedawno jeszcze różnymi laty do konfessji panującej skonwikowanych i choć dzisiaj nosząca nazwiska zgoła po staropolsku brzmiące jak Soplica, Koniepolscy, Konarscy, Kondecki, Konar, Makowerscy, to jednakże (raz to już wreszcie zdemaskować tu trzeba) w gruncie rzeczy nazywająca się jeszcze do niedawna, bo jeszcze pięć lat temu, no co to dłużej ukrywać (kiedy to wcześniej lub później musiałoby i tak wyjść na jaw, a co się odwlecze to nie uciecze), no a zresztą ostatecznie i w tem nic niema złego a może być tylko przypadek a w tym wypadku zachodzi właśnie ten przypadek, że właściwie wszyscy ci państwo (jak jedni bywają np. dziedzicznie obciążeni słówkiem „de“ lub „von“), tak byli szczęśliwym trafem obarczeni tem, co dziś najważniejsze, najfortunniejsze, najszczęśliwsze, a mianowicie właściwie wszyscy nazywali się krotko mówiąc:

Kohn...

...Czy chere maitre odpowie nam na to pytanko co się dotyczy matuchny naszego Julka?

*
* *

Dalszych szczegółów oczywiście nie pamiętam zupełnie. W każdym jednak razie całe zajście musiało mieć skandaliczny charakter. Kiedy nazajutrz zbudziłem się już dobrze koło południa, głowę miałem ciężką i poobwijaną białymi konpresami i ręcznikami, tak że wyglądałem jak maharadża Kondżapalu... Dookoła było cicho w gościnnych pokojach, widocznie reszta gości też jeszcze spała. Powoli pijąc herbatę zacząłem sobie przypominać szczegóły wczorajszego melodramatycznego wieczoru... Piło się bardzo dużo i bardzo wysokiej próby... o pewnej godzinie dali jakiś mieszany cocktail amerykański okrutnej mocy... Mieszańców nie powinnem tykać!... Potem ciągle mnie o coś pytano... panie były dekoltowane z góry i z dołu... Nawet stara foka z Kontryfałówki, ten geniusz w spódnicy, któremu ciągle coś niepotrzebnego cieknie z nosa, z oczu, z uszu, ta maszkaraboska contessa Coletta Konarska Konicpolska tego wieczoru domyła się i zdekoltowała pod dziewiąte żebro... Na kolację była i szynka z dzika... Dalej co to jeszcze?... Aha! to pytanie, pytanie! ciągle mnie o coś ktoś pytał... a ja byłem zamyślony jakiś i mrukliwy... aha! wojewoda dolewał mi tylko koniaku zimnego jak lód.. aha... wojewoda Konar syn rodzoniuteńki tego małego Kohna z Łodzi... Tak... Potem przyszedł ten

coctail... Patrzyli na mnie zdaje się prowokująco. Nie odpowiadałem, nie odpowiadałem, nie odpowiadałem... nic, nic, długo, cierpliwie i spokojnie... Nagle, zdaje się, jak się nie zerwę, jak się nie rzucę... jak nie skoczę do malachitowej wazy, do tej malachitowej wazy, co to ją dostali z Krymu z jakichś carskich pałaców letnich czy coś... jak nie złapię wazę za szyję... jak się nie rozmachnę i... buch w arras... w „córkę faraona odkrywającą Mojżeszka w sitowiu...“ Potem jakiś okropny krzyk... krzyki... spazmy.. światło elektryczne gaśnie... Dalej już nic nie pamiętam... literalnie nic... a musiało zajść coś straszliwego... Teraz we dworze gruszczynieckim cisza... Chybam ich nie wyzabijał?... Trzeba jeszcze pospać trochę... Niech się dzieje co chce... Spać... spać...

*

* *

... Jaśnie pani generałowa każe prosić jaśnie pana do siebie...

Śliczna demokracja? co? Ciągle jaśnie i jaśnie. Ani rusz ich oduczyć tego. I to komu? komu?

We drzwiach stał kozak w niebieskich hajdawerach Semenko z Kontryfałówki, chłopaczysko wyprężony jak struna basowa i basowym głosem meldował.

... A co tam słychać na dole Semeńko?

... Ano nic jaśnie panie... Pan cały dzień spał smacznie, to ta nie wi... W pałacu cicho bo dużo osobów odjechało.

... Co?

... A tak. Na ranny pociąg jaśnie pan wojewoda z żoną, pani hrabina, pan minister i pani, w południe wyjechali samochodem pan admirał z familją i pani senatorowa z nimi...

... Co ty mówisz?... Oooo... Niedobrze!.. A pani generałowa gdzie?

... Ano każe prosić jaśnie pana do siebie. Chora była... W nocy miała pani dziedziczka to co zwyczajnie miewa, te swoje konwulsje i kongestje, kontorsje. . w południe było kohnsilium. Ale teraz chwalić Boga już całkiem zdrowa .. i czeka...

... Zaraz idę... Już...

W moment byłem gotów... pukałem do drzwi. I wchodziłem poraz piewszy do buduaru Gruszczynieckiej dziedziczki....

Była godzina dziewiąta wieczór... Żaluzje u okien już zapuszczone... Wchodziłem do jakiegoś apartamentu zgoła jak z bajki... Bagdadzkiej bajki... Wszystko w dywanach, kobiercach... kotarach... makatach... Ze sufitu zwieszające się ciężkie festony i firany lekkich jedwabi... jakieś kiście strusich piór... jakieś w wazonach wysokie, zgięte, potem wydłużające

się gałęzie nie istniejących drzew dziwacznych... jakieś pozakwefiane latarnie czy lampiony algierskie z ciemnymi szybkami... z boku jakaś fontanna, cieniutko, wysoko nić wody wyrzucająca i szemrząca delikatnie... Tam na olbrzymiej piramidzie z poduszek krągłych zwinięty w kłębek potwornych rozmiarów jedwabisty biały koczur chiński bo z czerwonym pyszczkiem... tu jakaś ni to komoda ni ołtarz, cały pokryty przepysznymi ornatami, a na nim trzy też potwornych rozmiarów siedmioramienne świeczniki (menory) łyszczące w mroku swymi miedzianymi ramionami... Tu ni stąd ni zowąd rozwieszona na buczackim kobiercu wspaniała, krwawa w kolorze hetmańska delja, nad nią futrzany kołpak, ze spiętą agrafą brylantową kiścią czaplich piór... Tam znowu wysoki słup, cały obwieszony czarno-białymi talesami rytualnymi, a na nim poważna Talmud-Tora. Bardzo, bardzo piękne wszystko razem ale bardzo mieszane... niesamowite... nienaskie... niepokojące... Jakaś gotowalnia Shacher-ezady czy Bazar Betsabe?... Całość jakby skomponowali Bakst i Beardsley na spółkę...

Do tego wszystkiego ten przedziwny zapach, subtelny, rafinowony, nieokreślony, niezdecydowany, nic nie przypominający a jednak reminessencjonalny... oszałamiający... coś z lew-

konji... kohnwalji... coś eroterycznego i erozotycznego... liście herbacianych róż .. kwiat wanilji... korzeń magnolji... kadzidła z ziół? lingam? haszysz?... Wszystko jedno... trzeba się opanować! No i gdzie sama Asp-Azja?... Rozglądałem się dokoła w półmroku, nagle natrafiając wzrokiem w rogu wysoko na przepyszny starobyzantyński z szeroko rozwartymi złotymi skrzydłami Ikon, wprost chyba z dala! ze Suzdala! z jakiegoś klasztoru zapadłego, tu zrabowany, porwany, Bożą Matyr przedstawiający, mdłym światełkiem lampki oliwnej oświetlony. Pod nim klęcznik perski... poduszka turecka... Ale gdzie gdzie Schacherezada?,.. gdzie Putyfaraonowa córa? gdzie generałowa Gruszczyńska primo nomine Bierenzwerg? gdzie Sally Kohn?...

...Niech siada!...

Rozglądnąłem się dokoła błyskawicznie nie zdając sobie sprawy skąd głos pochodził zmęczony, cichy, chory ale jak zawsze czarujący, dźwięczny, metaliczny głos...

...Niech siada!

... Łatwo powiedzieć o Serenissima niech siada! ale na czem? Najpierw nie widzę w tej pagodzie żadnego krzesła, no i to słusznie, następnie jednak nie widzę ciebie o Serenissima!.

...Niech się przybliży... Na lewo... nie na prawo!... na lewo!...

Skierowałem wzrok ku lewej stronie w półzmrok, który teraz nagle lekko rozbłysnęły dwa światła cedzące się z ciemno-różowych, perłowych, alabastrowych kon-ch muszli. I oczom moim przedstawił się widok istotnie jak z tysiąca i jednej nocy o północy. To był namiot, namiot niewielki, otwarty, namiot jakby beja czy szeika, namiot jak na pustyni piaszczystej rozbity, namiot wieczystych nomadów, niespokojnych, gorączkowych, ruchliwych, śmiałych, z łupów zrabowanych żyjących nomadów... ale namiot przedziwnie z samych złotolitych, polskich słuckich pasów zszyty, jakby dla Bajadery jakiegoś Bajazeta czy Sulejmana skon-struowany... I w tym to namiocie z odchylonymi z frontu połami, w bajkowatem francuskiem, roko-kociem, szerokiem, białokremowem łóżku w batystowych odmętach edrenowskiego puchu wynurzając tylko nagość różowawych ramion tonęła Sally... La Sally. Nie mogę powiedzieć, żeby tego niezwykłego rodzaju krajobraz erogzotyczny nie zrobił na mnie w pierwszej chwili omal dużego wrażenia. Amfitrytę Adonajtis obdarzył urodą i urokami najwyższej próby, dając jej pewne detale podpatrzone u Toulouse-Lautreca, nieco wzorując się na hiszpankach Zuloagi, a dużo kopiując wprost... z Feliciena Roppsa... Taki stary Odysseusz na ten przykład

dłużej znacznie byłby siedział na odludnej Atlantydzie, gdyby tam jeszcze w takim namiocie i w takiem łożuniu leżała nie rozpękana z pulchności i kłębiasta Calypsotka a taka jak Sally, Salomenetta ...

...Niechże siada!... Tu bliżej... O!... Wstyd na Lacha, że się stracha...

Jakby ostrogą dźgnięty w lędźwie, pomknąłem żwawo ku namiotowi przewracając zgrabnie po drodze jakąś drewnianą statuę kościelną czy klasztorną. I już już oto siedziałem na brzeżku pompadurowego łoża..,

...Niech mi pan poda te krople... Jestem bardzo... bardzo cierpiącą... Ta straszna straszna scena wczoraj... potem ten dziwny dziwny dziwny sen... wyczerpały mnie doszczętnie. Jestem tak osłabioną, że dziś możnaby ze mną, robić, co się komu podoba... Nie zdobyłabym się na najmniejszy opór... Tu łyżeczka, niech mi pan wyliczy dziesięć... kropel, a tu szprycka.. ta maleńka... o tak! Jaki pan dobry, ale dziwnie dziwnie blady. Może pan też cierpiący?

... Osłabienie przemijające...

... Chce pan, to panu raz wstrzyknę, to pomoże. I takie miłe uczucie...

I mówiąc to równocześnie zerwała się dość raptownym ruchem i wynurzyła z toni pościeli prawie do połowy, zgrabnym przemyślnym ru-

chem obnażając ramię Ruth, plecy Lilith, pierś Miriam i t. p. orientalne czary i równocześnie szybko kierując w moją stronę nagą rękę wężową i dłoń z misterną wstrzykawką.

... Morfium?

... Może, może. Ale pan sie boi? pan nie chce? no to nie, to ja solo basso...

I błyskawicznym ruchem już gdzieś wynalazła jakieś podatne miejsce na biodrze i w oczach moich, bez żadnej żenady, szybko, rutynicznie pakowała sobie w żyłę cały ładuneczek... Patrzyłem na ten manewr z niemałem zdumieniem. Zrobiła to tak zgrabnie, lekko, z takim wdziękiem i gracją, że mi tem istotnie zaimponowała. Poczem z równą swobodą odrzuciła strzykawkę i prężąc się jak wąż ana-kon-da, odrzuciła w tył głowę z takim przemyślnym gestem, że spięte włosy rozsypały się na poduszkę łyszcząc jak miedź rozżażona...

...No tak... Teraz możemy pomówić spokojnie...

Spokojnie, jak spokojnie. Ostatecznie bowiem nawet, jeżeli się ma swoich lat omal sześćdziesiąt i włosy siwiuteńkie jak gołąbek, to jednakże taka Salome z tą swoją arabską, karnacją, poraz pierwszy w całości oglądaną, z tymi oczyma perskiemi tak zagadkowemi, z tymi huryssiemi przeciąganiami się na poście-

li swój efekt wywołać musi, niespokojne raczej rozbudzać zamierzenia tudzież pomysły.

...No niech pan da łapkę teraz i porozmawiamy... Mam panu dużo dużo do opowiedzenia dear Adolar... Czekałam na tę chwilę długie lata, długie miesiące, długie godziny, długie wieki!.. Pan tego nawet nie przeczuwał. Mężczyźni wogóle nigdy nic nigdzie nie przeczuwają. Pan naprzykład nie przeczuwa także tego, że ja się z moim Samciem rozwodzę.. A widzi pan?... jak pan się zdumiał... Jak się panu rozszerzyły te czarne, duże. śliczne ślepki. Samuma przepędzam na zawsze!,.. Już tu nie wróci... Ach! mój mąż był wogóle taki śmieszny!.. Czy pan wie co on sobie wyryć kazał na tej szabli honorowej, którą dostał od Marszaławiły? Po łacinie: „Pro patria consumor“! cohn-sumor! Tylko dla przypodobania się memu papie! hehehe...

I teraz ni stąd ni zowąd zaczęła deklamować swym cudownym metalowym głosem, (którym kiedyś tak działała na tłumy):

„Stary Kohn żałosny sknera
Bywało chłopów odziera
I plecy nahajem porze
A złoto w szkatule dusi
Każdy dzień mówi wyorze...
Perełeczkę dla Salusi... hehehe...

I nagle wydeklamowawszy to zaczęła smiać się w głos swoim dziwnym, srebrzystym, dźwięcznym śmiechem, równocześnie nerwowo, kurczowo, dziwnie ściskając moją rękę...

W .dusznej, przepojonej tysiącznymi egzotycznymi, haremowymi perfumami atmosferze czułem wyraźnie, że robi mi się: niewyraźnie, że będę musiał zdobyć się na wyjątkowy wysiłek woli, aby nie uledz jakiemuś fluidowi tajemniczemu, falującemu w półmroku i napierającemu na mnie nieprzygotowanego z nieprzepartą mocą. Oczy Salli migdałowe jakby powiększyły się i pogłębiły, a z włosów jedwabiących szły na mnie raz po raz ciche syczące iskry.

... Jak pan mógł zakonserwować taką cerę młodzieńca przy tak siwiuteńkich włosach?.. Co? To jest bardzo, bardzo amerykańskie. I to ma swój urok niezwykły... Niecierpię Amerykanów, ale okropnie kocham siwe włosy... takie srebrne... srebrne... srebrne runo...

Teraz czułem już wyraźnie jej rękę na mojej głowie, jej cieniutkie palce, wikłające się w mojej siwiznie.

Sytuacja zaczynała być cokolwiek bezsensowną i węzłowatą, więc postanowiłem sobie w okamgnieniu doprowadzić ją do normy potocznej i rozwikłać. Wyprostowałem tedy zgar-

biony kark i lekko usuwając jej rączkę niby dla pocałunku, zacząłem.

... Droga generałowo! Otóż wczoraj wieczorem zaszło coś niewymownie... tego, niewymownie przykrego.

... Nie mówmy o tem... Ja nic nie pamiętam.

... Ale ja pamiętam o Serenissima! Malachitowe wazony tłucze się raz w życiu, albo jeszcze rzadziej... Otóż...

... Otóż mistrzowi wolno nawet i częściej jeszcze. Pan jako osoba duchowna, jeden z założycieli nowej sekty antinsektów, misjonarz do pewnego stopnia może sobie pozwolić na to... Bardzo żałuję wogóle, że nie mam drugiej takiej wazy, żeby panu podstawić... Mistrz mi wczoraj naprawdę, właśnie tem zaimponował!.. Nam... nam bowiem tylko siła imponuje... Proszę dać mi łapę... o tak... i drugą także... doskonale... Nam kobietom oczywiście. Człowiek, który tak bez żadnego powodu, ni stąd ni zowąd, wali w córę faraona dość rzadkim stosunkowo objektem sztuki... taki człowiek wart jest i grzechu i... cnoty, zenitu i nadiru... piekła i nieba... I taki człowiek mieć to wszystko może... jeżeli zechce...

Ostatnią kwestję wypowiedziała szybko, głosem stłumionym, chryplastym i, garlanym, uwięzłym w krtani i niesympatycznym bo nie-

szczerym. Wobec tego postanowiłem ją ukarać i to doraźnie, uderzyć odrazu w najczulszą strunę i komedji odgrywanej kres położyć. Trzeźwym tedy suchym głosem mówiłem:

... Musisz mnie jednak generałowo usprawiedliwić conieco z tej awantury wczorajszej, gdyż przedrażniony byłem nerwowo w ostatnich dniach, prawdę rzekąc tą waszą megalomanją kon-ską. Uznaję w pokorze ducha, że do Konów należy jeżeli nie cały światek dzisiejszy, to półświata, ale jako człowiek wierzący...

... Konfesjonał, konsekracja, konsystorz, konklawe, konfirmacja, konkordat, Watykan... nagle zapaplała jak papuga jenerałowa Gruszczyńska.

... Waty-kan, a więc nie Waty-kon!

... To wszystko jedno pater Adolar! Kohn, Kahn, Cain, Kogan, Kahane to wszystko jedno, to wszystko pochodzi od hebrajskiego: cohen czyli kapłan, ksiądz, książe, kniaź, władzca, witeź, watażka, wódz, rządzący... ród rządzących, dynastja rządzących światowładna o... W każdym razie w dźwięku Watykan trzecia zgłoska jest nasza i dlatego i to musi iść nam, nam z pomocą... liczyć się z nami!..

... Z nami? Jakto z nami?

... Z Kohn-ami mówiłam... Mistrz się przesłyszał...

... Może.. open the doubt... może.. W każ-

dym razie jest mi niewymownie, niezrównanie, niewysłowienie przykro, że wczoraj dałem się tak porwać impulsywnemu mars-szałowi czy szałkowi i w ataku niepoczytalności ikonoklasycznej, uszkodziłem „kolebkę Mojżesza w sitowiu", tak przepięknie na tym wielkoksiążęcym arrasie unieśmiertelnioną...

... Powtarzam panu raz jeszcze i powtarzać mam nadzieję już do końca życia, że w stosunku do wszechświata i do wieczności, która nas wszystkich czeka, oszkaradzenie córy faraona jest ostatecznie drobnostką. Przebaczyłam ją panu, jak jestem wogóle gotową przebaczać mu wszystko, wszystko, wszystko, byle tylko rzeczywistość spełniła mój srebny sen z dzisiejszej nocy!..

Wreszcie dobijamy się do tego snu, pomyślałem teraz sobie, patrząc już coraz chłodniej na jej nagość, konturującą się bardzo wyraziście pod pajączynową batystową woalnością, która gdyby jej było nieco więcej, mogłaby uchodzić za to, co w prozie buduarowej zowie się peniarem, a nie jest nawet koszulą. Trzymała mnie teraz kurczowo, a w oczach jej podkrążonych ciemną niebieskością morfinnego nałogu, łyskały jakieś błędne niezdrowe ogniki...

Odczuwałem instyktownie, że ta niezwykle piękna, lecz jeszcze niezwyklej trzeźwa Pasiphae,

odgrywając z taką maestrją i finezją rolę Tytanji przytulającej się do szpakowatej szerści Oberona, wykonuje jakiś manewr strategiczny, stanowiący tylko fragmentaryczny epizod kan-panji przeprowadzanej w kon-p!ecie przez jakąś wielką kon-panję. Aby więc wciągnąć ją jeszcze głębiej w odgrywaną rolę, zdecydowałem się wykonać szybko kilka kontrdemonstracji, któreby jej dały złudzenie mojej z jednej strony naiwności a też i pobudliwości we wiadomym kierunku. O ile więc jeszcze starczyło elastyczności człowiekowi stojącemu nad grobem swej karjery wszechświatowej, szybko przegiąłem się i jedną rękę nurzając (jak się mówi w tych wypadkach) we wspaniałych splotach jej włosów, drugą gładząc z odpowiednim wyrazem i natężeniem jej łopatkę i pewne partje poniżej łopatek, równocześnie recytowałem konfidencjonalnie pewne konwencjonalne słowa i zdania, oczywiście sosem gorącego affektu oblane... W tym momencie wpatrzyła się we mnie badawczo, nieufnie, śledzczo. Nie dowierzała ani mojej inicjatywie, ani czystości i prostolijności moich zamierzeń, ani potędze mych rewelacji. Teraz dopiero mogłem widzieć, jak głęboko piękną ta Estera na tle tych puchów, batystów, koronek. Nie tracąc tedy już czasu, żwawo i obcesowicie, ewolucje poprzednie powtórzyłem teraz, ale już

z większem znacznie natężeniem, z pewnymi modyfikacjammi i konfiguracjami więcej skonplikowanymi, nadając im charakter mniej konwencjonalny, a więcej con amore, cohn fuoco. I to dopiero przemówiło jej do przekonania... Czułem już teraz, że ona czuje się wreszcie zwyciezcą i wskutek tego wiedziałem już, że ją wygrywam batalję, kart mając mało, na całej linji...

Daliliana zaś już widząc mnie pętającego się i słaniającego w ljanach i gąszczach jej uroków, tracącego kontenans i kapitulącego się do niej pieściwie, mówiła teraz przycisznie, miękko, sennie, jakby opowiadała bajki Shacheres-ady...

..., Opowiem mu więc mój dziwny... dziwny... srebrny sen.

... No! idzie wreszcie ten sen Salomeji... pomyślałem, nie posiadając się z radości.

... Śniło mi się... mi się śniło... się... żeśmy... my oboje... gdzieś podróżowali... daleko... daleko bardzo daleko... po morzach, po oceanach podróżowali... Mieliśmy taki śliczny, cudny yacht... yacht lśniący żółtawą białością politury i złotością zimnego mosiądzu.

A ten taki... nasz yacht to on pięknie „Concordja“ się zwał... I jechaliśmy... jeździliśmy... miesiąc, dwa, trzy... rok cały, dwa lata... tam wszędzie... wszędzie, gdzie bywali... Loti, London,

Farrere, Benoit.., Con-Andoyle, Conrad!... Słyszy?... I Con-rad!... Załoga „Concordji“: dwunastu marynarzy, a każdy z innego narodu... Kucharz murzyn... sternik chińczyk.., kapitan japończyk...

...A komenda?

...Esperancka... Dziś Colomba... jutro Singapore... Malaga... Madeira... Celebes.

...Ceylon.

...,Torneo, Borneo, San Francisko, San Sebastnian, Mekka, Mokka, Miramare, Gibraltare, Fudżi-jama, Jama-ika... I Kamerun... wszędzie... wszędzie... Tu dzień, tam tydzień... Nigdzie dłużej! Fjordy w Lipcu, Marokko w Grudniu.

...Baroko w Styczniu!

...I śniło mi się... śniło tak cudownie, żeśmy tak oboje... oboje... objeżdżali cały... cały glob... wszystkie kon-tynenty, zdala od naszych Penatów, Larów, gwarów i tych... polskich potępieńczych swarów...

...Aha...

...Że ja... że ja, śniło mi się... po rozwodzie z Samuelem..., zlikwidowałam to wszystko tutaj... Gruszczyńce... lasy, dobra, wszystko... dostałam za to taką górę, górę srebra i że za tę taką Srebrną Górę kupiliśmy taki yacht...

...Srebrny!

...I wojażowali, wojażowali po tym ślicznym, ślicznym świecie, który jest jeszcze za tą waszą Polską...

... Waszą? Jakto... „waszą“?

... Laszą... Laszą mówiłam... On się przesłyszał... I potem, potem mi się śniło, żeśmy mieszkali sobie to na Majorce to na Minorce... To na Malcie... To w Kon-stantynopolu, to w Neapolu, w hotelach... nad jeziorami, w takich willach nad morzem, w ciszy, w spokoju, kohnforcie i koncentracji duchowej!.. A ja mu byłam wszystkiem... wszystkiem! I Arją i Messaliną i Beatryczą i Laurą i Aliną i Alladyną, Lillą i Różą, Dejanirą i Judytą, Marją Stuart i Księżniczką, Księżniczką i midinetką!.. Bo my jedne umiemy być dla was i Sem-i-Ramidami i midinetkami... I tem zwyciężamy!.. Wschód z Zachodem... Południe z Północą... zenity i nadiry... Semiramidą-midinetką...

... Bardzo ślicznie! Atoli w czem rzecz? mówiłem teraz cedząc powoli, ale jeszcze trzymając się w roli i trzymając w mocnych objęciach Anakon-dę kobiecą, imaginującą sobie już tryumfalnie, że cud królowej Judyty i midinetki Dalili znów się iści, że Holofernes lada chwila straci głowę, a Filistynów pozostawi na łasce opaczności.

... W czem rzecz o Salome?

... Śnił mi się srebrny taki sen, że Adolar zdjął wreszcie ze siebie habit obmierzły tej strasznej Kongregacji I-Kohnoklastów!.. że się przestał szkaradzić tym okropnym konkubinatem z Antikohn-wentem i „kiedy wzbiera czynu fala już nie kładzie się kamieniem i na judzki ruch pozwala“...

...To Słowacki?

...Tak to Słowacki, Słowacki, co „ma w sobie „całe“ Polski słowo i moc i rózgę Mojżeszową“...

...I „siłę fatalną“!

...I nieśmiertelność wiekuistą, nieśmiertelność, którą i ty Adolarze mógłbyś jeszcze mieć, gdybyś zeszedł póki czas z drogi „fatalnej“ i z nami... ze mną konkordat zawarł, ze mną, która będę gdy zechce twą Aliną lub Asp-Azją, Dejanirą i Goplaną, Księżniczką i Salomeą... Semiramidinetką!... wszystkiem, wszystkiem!

I to mówiąc ustami swoimi, „ustami rozciętego granatu zawisła“ (jak się to mówi i pisze) na moich ustach, równocześnie zuchwale lubieżną ręką sięgając do mego habitu, zamraczając mnie aromatami wschodu i całym swym „słodkim ciężarem“ opadając na moje łono.

I teraz nadszedł wreszcie dzień zapłaty.

I teraz nastąpił moment nieprzewidziany.

I teraz ta Nowa Dejanira, nowa Heloiza, starsza Dalila, Ester, Salome, Etceterja dostała cios w samo serce. Od Johanaana czy ben Józefa.

Lekkim ruchem odsuwając najpierw nóżki potem rączki, poczem kładąc spokojnie córę Hewy na wezgłowie i przykrywając starannie mgławicą puchu, równocześnie mowiłem głosem suchym, trzeźwym najnormalniejszym w świecie, głosem jakiegoś pedademagoga czy gynekologika:

Droga jenerałowo racz posłuchać, co ci tu powiem streszczając się możliwie najrozwięźlej. Pociąg wieczorny odchodzi o 9-ej minut 25, ponieważ zaś teraz jest 9-ta min. 50, mam więc minimum 48 minut czasu do wyłuszczenia ci co o tem wszystkiem myślę i jaki jest mój światłopogląd. Oto jest rzecz taka. Generałowa musi się zacząć solidnie leczyć, gdyż cierpi przewlekle na manję grandjosa cohn-cubinativa, polegającą głównie na obłędnem urojeniu, że bez cubinacji z pierwiastkiem „con“ nic się zrobić ni pomyśleć na świecie już nieda. Tak droga pani jak i jej familja bliższa i dalsza chcieliście tu zasuggerować i mnie doczesną potęgą wszechświatową Kohnów i oszołomić tak, abym wróciwszy z wywczasu letniego wystąpił z Zakonu ikohnoklastaczy, przestał być malkontentem i zaczął wam sekondować w waszej konkiecie Polski i świata. Droga generalico nic z tego. Sen

mara Bóg wiara, sen srebrny temci bardziej. Na pytanie rzucone wczoraj odpowiadam wam najstanowczej: Ani matka Słowackiego, ani Mickiewicza. I dziś bowiem rodzą się jeszcze ludzie genialni a nie z ras pomieszania. Cezar choć przeszedł Rubikohn, jednak z Rubinem Cohnem nic nie ma wspólnego. Nie jest też starozakonnym np. Daudet z tej racji, że napisał Tartarina z Taraskohnu, nie mówiąc już o Kondratowiczu czy Konopnickiej, Lachach z krwi i kości. I Kohna z rzędem dam temu a Królestwo za Kohna, kto mi np. w Konfucjuszu udowodni pochodzenie jego także z Galileji... Z tej racji droga generałowo na twoje kongestje leczyć się musisz konsekwentnie byle nie u pokon-tnego konowała... Messaliną być możesz, ale nigdy Arją i nigdy Aliną! Aspazją jesteś i Asp-Azją zostaniesz! A teraz bywaj mi zdrowa córo Faraona a Putyfara małżonkiljo!.. Przegrałaś z kretesem. Królestwo z tego świata też nie będzie należało z kretesem do Kohnów.

... Tylko jeszcze cierpliwości... Bywaj Salome śnie srebrny!.. Już trąbka gra. Pora mi wsiadać na Koń... na „mój bułany“ Satyri-satyri-kon...

Kohn I. E. C.

W „Książkach Ciekawych“ wydano:

1. **St. Żeromskiego** „W sidłach niedoli“.
2. **M. Wierzbińskiego** „Siostra Felicja“.
3. **W. Filochowskiego** „Amulet Ozyrisa“.
4. **An. France'a** „Święty Satyr”.
5. **R. Kipling'a** „Niesamowite opowieści“.
6. **J. Gobineau** „Gamber Ali“.
7. **E. Ligockiego** „Komandor Sidi Numan zu Stollberg“.
8. **J. Grabowskiego** „Granum Salis“.
9. **J. Lemańskiego** „Prawo mężczyzny“.
10. **G. Daniłowskiego** „Nad urwiskiem“.
11. **A. Dygasińskiego** „Nowele“.
12. **Teffi** „Kobieta demoniczna“.
13. **E. Hoffmann'a** „Panna de Scudery“.
14. **M. Domańskiej** „Fotografje mówią“.
15. **G. Flaubert'a** „Legenda o Św. J. Szpitalniku“.
16. **St. Sierosławskiego** „Drogi cierniowe“.
17. **R. Stevenson'a** „Morderca Markheim“.
18. **Mark Twain'a**: „Historja podwójnie detektywna“.
19. **J. Krzewińskiego** „121—2—3“.
20. **A. Awerczenki** „Moje uśmiechy“.
21. **Z. Rabskiej** „Barbarzyńca“.
22. **Z. Nałkowskiej** „Na torfowiskach“.
23. **Condivi'ego** „Żywot Michała Anioła“.
24. **B. Adamowicza** „Wesoły Marszałek“.
25. **B. Kellermann'a** „Wśród Świętych“.
26. **T. Dostojewskiego** „Z pamiętników ni eznajomego‘.
27. **E. Ligockiego** „Lew Św. Marka“ (romans).
28. **E. Żmijewskiej** „Żona“ powieść.
29. **K. Makuszyńskiego** „Moje listy“.
30. **Fr. Gawrońskiego** „Kobiety na tronie”.

31—32. **Pierre Benoit** — „Dla Don Karlosa”.

33. **Sewera** — „W kleszczach“.
34. **R. Kiplinga** — Człowiek, który chciał być Królem.
35. **Jacka Londona** — „Gra“.
36. **Arcybaszewa** — „Miljony”.
37. **E. Herczega** — „Bracia Gyurkovicsovie.”
38. **Eugenji Żmijewskiej** — „Car i Unitka“
39. **Wacława Rogowicza** — „Samson.“
40. **A. Nowaczyńskiego** — „Sen srebrny Salomei Kohn.”

W przygotowaniu:

Ugo Ojetti — „Mój syn socjalista”.

Wydawca
Feliks Gadomski;

Redaktor
Stanisław Miłaszewski

KSIĄŻKI CIEKAWE
WARSZAWA